N. 39. WARSZAWA d. 18 (30) Września 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

CHRZEŚCJANIZM
JAKO
CZYNNIK CYWILIZACYJNY.

I.

W szperaniach badaczy dotyczących dziejów ludzkości, fakta i zdarzenia stanowiące jéj przeszłość, przez dzisiejszych historyków uważane za skutki przyczyn, wysnuwających się nierozerwalnym łańcuchem od pierwszéj chwili narodzin człowieka, podawane są szczególnemu badaniu, nieznanemu zupełnie dawnym pisarzom. Spisywanie wypadków łączenie ich z sobą, szczęśliwe mniéj lub więcéj obrazowanie, śledzenie związku jaki między niemi zachodził, było jedynem ich dotąd zadaniem. Dzisiejsi pracownicy na polu historycznem, uważając system taki za niedostateczny, z faktów kronikarskim zebranych sopsobem, pragną wyśledzić przyczyny, a raczéj prawa według których musiały nastąpić, i tym sposobem utworzyli nową szkołę, tak zwaną pozytywistów, którzy do swych prac powołali wszystkie niemal nauki, nie wyłączając nawet geologji choć ta ziemi tylko dotyczy a nie człowieka. Jest to systemat nowy, świeżo dopiero utworzony, stanowiący zupełny wywrót w filozofii, która z abstrakcji tym sposobem na pole rzeczywistości wprowadzoną została.

Mając mówić o zasadach rozwoju cywilizacji, pragnęlibyśmy je według tego samego systematu przedstawić, w mniejszych jednak ramach jakich sam przedmiot wymaga, bo i danych do tego niewiele posiadamy i zakres pisma perjodycznego na to niepozwala. Będzie to więc tylko szkic do rozprawy a nie sama rozprawa, mimo tego mamy nadzieję, że jako nowość chętnie przez Czytelniczki Tygodnika przyjętą zostanie i że rozjaśni niejedno w tym przedmiocie, co błędnie dotąd było pojmowane.

Nieraz zdarza się słyszeć dowodzenia o wyższości cywilizacji jednéj np. społeczności europejskiéj od drugiéj: tymczasem tak nie jest, bo ród ludzki tylko na dwie właściwie cywilizacje jest podzielony, czyli na dwie wybitne grupy, jedną rozwijającą się według ducha nauki Chrystusa i drugą obcą temu duchowi. W pierwszéj, społeczności składające ją, mogą w niektórych objawach cywilizacyjnych mniéj lub więcéj pójść naprzód, grunt jednak mają jeden i tylko warunki w jakich się znajdą, przyczyniają się do pomyślniejszego lub słabszego rozwoju tych objawów. Że Niemcy np, zwycięztwo odnieśli nad Francją, nie dowodzi to wyższości cywilizacji niemieckiéj, lecz jedynie skrzętniejszego zajęcia się pracą, w kierunku prowadzeniu wojny rozwiniętéj. Siła twórcza obu tych ludów jest jedna i ta sama, bo u obu pochodzi z jednego źródła, z nauki ewangielicznéj.

Nad władzą tą wyprowadzającą na jaw godność natury ludzkiéj, nie będziemy bliżéj się zastanawiać. Znajduje się ona w każdym człowieku, i ona to jedynie ze zbiorowych czynności jednostek pokazuje, czem jest geniusz narodowy, do czego zdolny i jakie posiada właściwe sobie cechy. Wiecznie czynna, na chwilę nieustająca, zarówno okazuje się w badaniach najwyższych zagadek natury, jak w dążności poprawy urządzeń społecznych i w codziennych czynnościach ludzkich choćby najdrobniejszych, choćby dotyczących zmiany ubrania zwanéj modą, albo rozrywek szczególniéj upodobanych. Twórczość ta będąc siłą, ma i zasady swego rozwoju, które zmienia z postępem czasu, a raczéj z przyjęciem nowego pierwiastku, przedtem jéj nieznanego.

Tym nowym dla niéj czynnikiem wprowadzającym ją na drogę przedtem jéj nieznaną, był chrześcjanizm, który jakkolwiek ludzkość mu poddaną na wskroś nie przejął i walczy ciągle ze szczątkami barbarzyństwa w niéj się dotąd mieszczącego, jednak zwycięzko ciągle się rozwija i sile twórczéj nadaje odpowiedni charakter.

Któryż jednak dogmat chrześcjański tak okazał się wszechpotężnym, że dziś nawet część ludzkości uległéj mu stanowczo wyróżnia od téj, co dotąd nie podrosła do jego przyjęcia?

Sądzimy iż każdy się zgodzi, iż tym dogmatem jest dogmat miłości, którą określając Chrystus powiedział: będziesz miłował Boga ze wszystkiego serca twego, ze wszystkiéj duszy twojéj, *ze wszystkich myśli twoich* i ze wszystkich sił twoich, a bliźniego twego jak siebie samego. Dogmat ten jest najważniejszym a można powiedzieć że jest jedynym dogmatem chrześcjaństwa.

Ze wszystkich władz które Chrystus wylicza jakiemi należy kochać Boga, władzę myśli położył na ostatku jako najgodniejszą człowieka, i tym sposobem dał jéj pierwszeństwo przed władzami uczuciowemi, płynącemi z serca i duszy ludzkiéj.

I rzeczywiście, miłość Boga z uczucia, z serca, wypływająca czyli instynktowa, bierna, ani nawet może iść w porównanie z miłością z myśli, z rozumu wykwitającą. Pierwsza tworzy bigotów i fanatyków czczących Boga samem wielomówstwem i cierpieniem cielesnem, pojmujących go czysto materjalnie: druga tworzy mędrców w ciszy ducha rozważających dzieła Boże, korzących się przed ich wielkością, wielbiących całą swoją istotą tego, co dał im początek, pragnących całą ludzkość podnosić do swego stanowiska. Nauka nie zabija wiary jak to niejedni głoszą z zaciekłą dla niéj nienawiścią, tylko ją oczyszcza z ziemskich naleciałości, dających środki do wyzyskiwania prostaczków. Fakirowie, bonzowie indyjscy bronią swych wyznawców przed światłem nauki ewangelicznéj, bo w cóż obrócilyby się ich liczne gromady, gdyby ogół wyznawców zrozumiał, że cześć przez nich Bogu oddawana nie jest czcią tylko bluźnierstwem?

Kochający Boga z instynktu, z uczucia zmysłami

wydobytego, powiadają, znam Go! i zmysłowo Go sobie przedstawiają: kochający Go z myśli jak Chrystus nakazał, powiadają, nie znam Boga, ale byt Jego czuję całą swoją istotą, sercem, duszą *i myślą*, i wiem że jest najwyższą mądrością i najwyższem dobrem. Obłąkanych w tym procesie myśli i wytwarzających teorje sprzeczne z jéj wypadkiem, świat słusznie nazywa mędrkami a dowodzenia ich mędrkowaniem, bo nie mogącem się pogodzić ani z sercem, ani z duszą, ani z myślą człowieka. Objawów podobnych jedyną przyczyną: niespokojność ducha ludzkiego dręczonego zasłoniętą przed nim tajemnicą. Przeczenie rozwiązując ją pozornie zaspakaja w części jego pychę, dając przytem nadzieję, wyzyskania w przeciwnych dowodzeniach jakiegoś światła, posługującego do rozwikłania tego czego nie rozumie.

Obłąkań podobnych nie inny początek, i dlatego na szaleńców takich zawsze przychodzi chwila przyznania się do swego obłędu.

W wyliczaniu błogosławieństw Bożych, Chrystus zaleca ubóztwo w duchu, cichość ducha, łaknienie sprawiedliwości, a czyż cnoty te nie są najwyższemi wyrobami myśli? Można posiąść je samem poczuciem serca i duszy, ale nigdy, one nie będą téj siły i potęgi, jak gdy pochodzą z myśli ludzkiéj, z pojęcia rozumem, że człowiekowi jako prochowi ziemi, należy być w obec Boga cichym i ubogim w duchu, a sprawiedliwym we wszystkich swych czynnościach.

Za zasadę zbawienia Chrystus wskazuje i wiarę, ale wiara bez uczynków jest martwą, dobre zaś uczynki są wynikiem miłości Boga z władzy myśli wychodzącéj. Żeby więc wiara była godną Boga, według nauki Chrystusa z myśli powinna wypływać. Władze serca, uczucia, nawet władze duszy są podstawami religji naturalnéj, z jaką człowiek na świat przychodzi i jaką poczuwa w sobie, jak tylko zmysły jego uderzy wielkość otaczającego go świata. Myśl zaś, rozum, są podstawami głównemi religji objawionéj, jako ujętéj w formy, które tylko myślą i rozumem pojąć można. Miłość prawdziwie chrześcijańska taka jaką Chrystus zalecił, musi się rozwijać w rozumie, bo uczucia serca są ślepe same z siebie, bezmyślne, nie mają władzy samopoznania, i dla tego nie odpowiadając za swe czyny ani przed prawem objawionem, ani przed zwykłemi prawami ludzkiemi, wtedy dopiero stają się odpowiedzialne, kiedy myśl to jest kiedy rozum niemi kieruje.

Przed Chrystusem takiego odróżniania uczuć od rozumu nieznano, ząb za ząb, oko za oko, krew za krew, było prawem ogólnem, czy przewinienie wypływało ze złego uczucia, czy z przypadku, czy z myśli czy też z wyrozumowania. Umiano oceniać czynność ludzką a nie pobudki powołujące je do życia. Zwierz kąsa rękę opatrującą mu śmiertelną ranę, bo czuje ból, a nie rozumie powodu jaki to cierpienie sprawia. Barbarzyńca za każde złe, złem się wypłaca, choćby winowajca był najniewinniejszym, bo mu tak uczucie wrodzone wskazuje, a u wielu bardzo społeczeństw do dziś dnia zemsta uważana jest za cnotę, od któréj pod hańbą usuwać się nie można. Chrystus dopiero oswobodził myśl człowieka z więzów prawa natury czyli z więzów uczuć, i tym sposobem nadał mu wolność i samopoznanie. Przed przyjściem Jego wiara w fatalizm była powszechną; ludzkość podległa ślepym uczuciom, ślepy także los musiała przyjąć za przewodnika wszystkich swych czynności. Nauka ewangieliczna nad uczucia myśl postawiła, i tym sposobem własną zasługę wydobywszy z krępujących ją powijaków, fatalizm wtrąciła w nicość.

W Starym Testamencie był *Zakon* czyli wskazówki postępowania pod utratą zbawienia nakazane, w Nowym wolność w duchu: myśleć też, panować myślą nad uczuciami, rozporządzać niemi według uznania rozumu, jest to rzeczywiście czuć się wolnym, jakim nigdy być nie może ten, u którego uczucia nad myślą przeważają. Myśl jest wyrobem osobistości duchowéj człowieka, uczucia jego powłoki cielesnéj, i dla tego posiadają w sobie wszystkie warunki najnędzniejszego niewolnictwa. Z przewagi myśli nad uczuciami, wyrabia się osobistość w człowieku czyli wolność w duchu, jakiéj nie znała cała starożytność. Miała ona mędrców szereg długi; miała tak wielkich myślicieli jak Solon, Likurg, Archimedes, Platon, Xenofont, Demostenes, Eschyl, od których jeszcze dziś wiele nauczyć się można, miała taką poetyczną potęgę jak Homer, a jednak żaden z tych mędrców starożytnych nie wyrobił w sobie pojęcia, że każdy człowiek jako człowiek, jest wolnym w duchu. W wyswobodzeniu myśli człowieka z więzów uczucia, a pokazania mu potęgi jaką sam w sobie posiada a któréj własną siłą nie mógł wykryć, najjaśniéj się okazuje bóstwo Chrystusa, a największym jego cudem wyrobienie w każdym człowieku osobistości, czyli jak powiedzieliśmy wolności w duchu. Ztąd też wypada, że chrześcijanizm jest początkiem wszelkich wolności, bo te wypływają z wolności ducha i myśli. Wyrobienie jednak w jednostkach takiéj wolności ducha i myśli jest trudniejszem niż się zdaje. Wolność w duchu, to uznanie godności swéj osobistości, to pojmowanie dokładne praw i obowiązków, to rozumienie jasne co godzi się robić i należy, a czego niegodzi, to wreszcie wypełnianie tego co rozum wskazuje, wbrew popędom uczuciami czyli namiętnościami obudzonym. Im człowiek więcéj poczuwa się w swéj godności osobistéj, tym czuje się wolniejszym w samym duchu, i tym wiecéj przygotowywa się do rozszerzania granic dla jéj działania. Dla tego stopień wolności w duchu i myśli, jest stopniem godności człowieka, a im ta większą liczbę jednostek ożywia i nadaje charakter całéj społeczności, tym bardziéj porządek społeczny musi się do niéj naginać i przybierać formy dla niéj najdogodniejsze. Same instytucje choćby najliberalniejsze martwemi pozostaną, jeżeli społeczność nie wyrobiła w sobie odpowiedniego zapasu godności osobistéj. Przykładów na to dosyć, nietylko w dawnych czasach ale i w dzisiejszych, a miarą wyrobu osobistości czy w pojedynczym człowieku czy w całych społecznościach, są objawy jego siły twórczéj, czyli owoce jego myśli w czynach się pokazujące. One to wykazują stopień jego cywilizacji a wartość jéj, cele w jakich siła twórcza była działającą. Czy zaś te cele są téj natury, jakto wskazał Boski prawodawca, najlepszym tu prawdomierzem jest odnajdowanie w nich głównych zasad nauki ewangielicznéj to jest miłości Boga i bliźniego. Gdzie ich nie ma, tam są tylko pozory cywilizacji, ale nie cywilizacja oparta na wyrobie osobistości, na podniesieniu godności człowieka do właściwego mu stanowiska. Cywilizacja bez tych podstaw z uczuć jéj wynikających, nie jest prawdziwą cywilizacją. Wyznawca jéj ujmie szaspot lub iglicówkę, wybuduje nawet koléj żelazną, nie w zamiarze jednak zabezpieczenia wyrobu swéj osobistości od napaści wewnętrznéj, ale właśnie dla zaspokojenia pragnień ze ślepych swych uczuć wynikających. To jedynie stanowi główną różnicę między cywilizacjami chrześcijańską i poza jéj obrębem się rozwijającą, a bliższe rozpatrzenie się w tym przedmiocie rzecz tę lepiéj objaśni.

J. K. G.

Korespondencja Tygodnika Mód.

Lwów.—Koniec Września.

Zaznajomiwszy czytelników w ostatniéj korespondencji bodaj pobieżnie z fizjognomją niezawodnie wcale nieznanéj im okolicy galicyjskiéj, przystępuje do wiązanki nowin artystycznych i literackich, która wsród obecnéj posuchy jest bardzo skąpą. Najpierw zwracamy się do teatru, tego stałego tematu najsłuszniejszych utyskiwań i rozpaczliwych narzekań korespondentów, wszystkich pism galicyjskich. Długo nie pisałem w téj sprawie, nie chcąc czytelnika nużyć narzekaniem, i nie mogąc donieść o czemś coby przynajmniéj obudzić mogło nadzieję, że nasze fatalne stosunki teatralne cokolwiek się polepszą. Ale niepodobna obecnie nie wspomnieć o wielkiem dziele dyrekcji, które miało od razu pogodzić publiczność z panem Miłaszewskim,—a tymczasem skończyło się fiaskiem fatalném. Pan Miłaszewski postanowił urządzić teatr letni, ażeby skrócić publiczności ferje teatralne, które w tym roku z powodu restauracji sceny są dłuższe daleko niż zazwyczaj. W obszernym ogrodzie Jabłonowskich, postawił pan Miłaszewski letni teatrzyk i dał w niem 13 sierpnia pierwsze przedstawienie, Chcąc zaimponować niewdzięcznéj publiczności lwowskiéj i niełaskawym krytykom, zapowiedział pan Miłaszewski przedstawienie to kolosalnemi plakatami, w których uroczyście oznajmił wszystkim ciekawym ludziom, że po przedstawieniu puści balon „wynalazku Gambetty" (sic!) i da kilka salw z kartaczówek nowego (zapewnie swego własnego) wynalazku. Na nieszczęście p. Miłaszewskiego, ale na szczęście jego kassy, która u nas niezwykła nigdy ustępować względom artystycznym, przybyło w dniu tym wiele osób, wszyscy pospieszyli na przedstawienie, a obok nich i znaczna część takich widzów, którzy głównie napatrzeć się chcieli na owe balony i kartaczówki. Tymczasem przedstawienie wypadło najfatalniéj i obudziło powszechnie rozczarowanie. Gdy na domiar nieszczęścia owe obiecanki o balonach i kartaczówkach okazały się tylko illuzją, obliczoną na wyzyskanie ciekawości, ozwały się sykania, które w końcu zmieniły się w hałaśliwy a dla pana Miłaszewskiego bardzo nieprzyjemny wyraz niezadowolenia. Po takim dobitnym wyrazie niezadowolenia, dyrektor pojmujący należycie swe stanowisko i powołanie ustąpiłby natychmiast,— ale pan Miłaszewski zaraz nazajutrz zapomniał o wszystkiem i daléj pracować będzie nad ruiną lwowskiego teatru.

W tem samem miejscu dał Stanisław Bogusławski pierwsze przedstawienie i inaugurował niem niejako scenę we Lwowie. Z powieści osnutej na tle ówczesnych stosunków, wyjmujemy opis tego dla Lwowa tak ważnego wypadku:

„O wiosennej porze dnia jednego spieszyły całe gromady Lwowian za miasto. Panowie i panie, studenci i rzemieślnicy, wiedzeni ciekawością opuszczali każdego pogodniejszego dnia mury miasta, aby oglądać nadzwyczajne, nowe, nigdy jeszcze nie widziane widowisko.

„Miejscem tych widowisk był ogród Jabłonowskich. Pod olbrzymiemi lipami, gromadziła się licznie publiczność z najwyższem zajęciem przypatrywała się widowisku.

„Widowiskiem tem była budowa amfiteatru. Bogusławski budował letni gmach teatralny w ulubionym ogrodzie, a gmach ten zajął do najwyższego stopnia uwagę całéj prawie ludności Lwowa. Już

sama budowa niezwykłego teatru budziła ciekawość powszechną, a cóż dopiero przepowiednia tego, co gmach ten wypełnić miało ową treścią, ożywić duchem!

,,W nowym amfiteatrze mieli Lwowianie ujrzeć po raz pierwszy nową zupełnie operetę. Rozpowiadano sobie o tem, podawano z ust do ust jako najmilszą wiadomość, radowano się z góry widowiskiem. Nim atoli przyszło do skutku to upragnione przedstawienie przypatrywano się z ciekawością budowie samego gmachu. Nowy amfiteatr zasługiwał też na takie zajęcie Lwowian. W jednym z ośmiu ogromnych czworoboków ogrodu Jabłonowskich, splantowano ziemię na trzy coraz wyższe siedzenia, z których jak niegdyś w Rzymie, miała oglądać publiczność dramatyczne widowisko. Na wykopanych tym sposobem podwyższeniach urządzono parter, nieco wyżéj tak zwaną galeryę dam, a najwyżéj raj dla biednych amatorów sztuki, paradyz.

„Amfiteatr był ogromnych rozmiarów. Sciany jego drewniane pomalowane były według starożytnych reminiscencji. Wewnątrz przedstawiały te malowidła posągi i płaskorzeźby, a zewnątrz połamanemi kolumnami i upadłemi kapitelami naśladowały ruiny starożytnego gmachu. Nowy amfiteatr nie był pokryty.

„Tymczasem przypatrywała się publiczność wzrastającemu gmachowi. Ile na przyszłość mieli artyści mieć widzów, tyle ich a nawet daleko więcéj mieli budowniczy. Wielkie gromady ciekawych przypatrywały się budowie. Ale ciekawość ta doszła do najwyższego stopnia, gdy między wzniesione już ściany amfiteatru miano wpuszczać proscenium. Proscenium to budowało się z osobna i dopiero po ukończeniu miało stanąć na swojem miejscu. Wyobrażało ono rozwaliny starożytnéj świątyni, dźwiganéj przez szesnaście kolumn, a ocienionej koronami drzew zielonych.

„Gdy proscenium już całkiem było gotowe, oznaczono dzień jego ustawienia. Architekt, pan Maraino, znaglony gwałtownem dopytywaniem się Lwowian, ogłosił dzień i godzinę publicznie. Gdy nadszedł upragniony termin prawie Lwów cały wysypał się na murawę ogrodu Jabłonowskich. Cóż to dopiero za widowisko było dla zgromadzonéj publiczności, gdy to proscenium o szesnastu kolumnach uchwycone dwunastu olbrzymiemi linami dźwigane przez sześć kół ogromnych poczęło się wznosić ku obłokom, aby stamtąd jak z Olimpu spuścić się między ściany amfiteatru.

„Nigdy Lwów nie miał ciekawszego widowiska! Zgromadzone tłumy okrzykami towarzyszyły tej robocie, wznosiły grzmiące wiwaty na cześć architekta Maraino i Bogusławskiego. Na drugi dzień cały Lwów rozprawiał o wrażeniach widowiska, odtąd zaś uwaga i ciekawość publiczności przeniosła się z gmachu na samą sztukę. Wyglądano niecierpliwie dnia, w którym ujrzeć miano pierwsze jéj przedstawienie. W końcu kiedy nadeszło, staczano formalne walki o bilety.

„Tryumf, jaki odnieśli artyści musiał być słodką nagrodą dla Bogusławskiego. „Była to jedna z rzadkich chwil prawdziwego szczęścia dla artysty, którego życie prawie całe było jedną, ciężką tułaczą pielgrzymką, jedną walką z losem i przykremi stosunkami kraju."

Dowiaduję się że w kole miłośników literatury, którym środki materjalne przy dobrych chęciach pozwalają odegrać rolę mecenasów, poruczono myśl założenia poważnego organu literackiego i uposażenia go w fundusze, któreby zapewnić mu mogły jeżeli nie świetną to przynajmniéj pewniejszą i znośniejszą egzystencję. Projekt ten ma być jak mię zapewniano rychło zrealizowanym, bo *Gazeta literacka* która słabemi siłami chciała przerwać dzisiejszą stagnację umysłową, mimo braku wszelkiego współzawodnictwa już dzisiaj stanęła jedną nogą w grobie.

Na zakończenie zapisuję upadek *Unii*, pisma codziennego redagowanego w duchu stronnictwa ultra katolickiego. *Unia* przestała wychodzić w pierwszéj połowie Sierpnia i zdaje się na zawsze, chociaż w odezwie do czytelników swoich mówi tylko o chwilowem zawieszeniu wydawnictwa.

Br. Ł.

LITERATURA HUMORYSTYCZNA

WE LWOWIE I KRAKOWIE.

(Dalszy ciąg)

Wspomnieliśmy na wstępie, że humor stoi niejako na stanowisku pośredniem pomiędzy poezją i filozofiją, których żywioły łączy w sobie harmonijnie, gdyż z pod poetycznéj jego szaty przeziera poważna analiza i refleksja filozoficzna. Na takiem samem pośredniem stanowisku pomiędzy poezją a humorem stoi satyra. W satyrze zstępuje poeta z idealną miarą swoich wymagań na pole nieużyteczne dla czystéj poezji, a spotkawszy się tutaj z niedostatkami i całym szeregiem stron ujemnych, nie łagodzi ich wyrazu pogodą filozoficzną humoru i jego spokojem, lecz owszem podnosi je do wyższych jeszcze rozmiarów i w cierpki sposób objawia swe rozczarowanie. Mimo ścisłego pokrewieństwa pod względem kształtów zewnętrznych i głównéj dążności, humor i satyra wychodzą z dwóch przeciwnych stanowisk. Humor występuje z łagodnym uśmiechem wyrozumiałości i przebaczenia, satyra z sarkastycznym wyrazem rozczarowania, z otwartą chłostą i naganą.

Wyprzedzenie właściwego przeglądu naszéj bieżącéj literatury humorostycznéj, tą krótką uwagą wydało nam się koniecznem, gdyż ułatwi ona znacznie później̇sze ugrupowanie przedmiotu niniejszéj rozprawki.

Zdaje się, że najstosowniéj rozpocząć można ten przegląd od pism, dla których humor według ich pierwotnego założenia jest jedynym i wyłącznym tematem t. j. od *Djabła*, *Szczutka*, *Cosia* i *Chochlika*.

Dwa pierwsze pisma pojawiły się prawie równocześnie przed dwoma laty, Djabeł w Krakowie a Szczutek we Lwowie. Założenie ich wynikło niezawodnie z powszechnie uznanéj rzeczywistéj potrzeby, gdyż najpierw nasuwał się ciągle obfity bardzo materjał dla pisemka humorystycznego, a potem szło tu właśnie o zapełnienie luki, jaka wynikła z upadku dawniejszego *Chochlika*, pisemka które niezawodnie stanowić będzie jedną z najpiękniejszych wspomnień w historji naszéj literatury humorystycznéj. Że oba te pisma humorystyczne oparły swą egzystencję o istotną potrzebę, dowodzi tego już sam dłuższy przeciąg ich istnienia. Od czasu bowiem efemerycznéj egzystencji Świstka, Szaławiły i tym podobnych jałowych prób humorystycznych, które po wydaniu zaledwie kilku numerów kończyły swój niepożyteczny żywot i robiły zawód prenumeratorom, upadł kredyt podobnych wydawnictw, a wydawanie pisma humorystycznego stało się rzeczą bardzo ryzykowną i narażoną z góry na niezawodne niepowodzenie. Trzeba bowiem było stanąć do walki z dwoma twardemi zaporami: z mało rozwiniętą potrzebą czytania u znacznéj części naszéj inteligencji, i nieufnością w słowność wydawców pism humorystycznych. Djabeł i Szczutek umiały szczęśliwie usunąć obie te trudności, bo inaczéj ich działania istotnie byłyby niemożliwemi.

Pomiędzy Szczutkiem a Djabłem zachodzi na mniejszą skalę tak samo różnica, jak pomiędzy Lwowem a Krakowem. Szczutek jest tak samo jak kolebka jego Lwów ruchliwy i hałaśliwy. Wytęża bacznie uwagę swoją w każdą stronę życia społecznego i politycznego, i śledzi najdrobniejsze zboczenia, a potem co dwa tygodnie wykonywa sąd doraźny. Szczutek nie jest pismem humorystycznem w właściwem tego słowa znaczeniu, lecz satyrycznem par excellence, celuje silnym sarkazmem, dotkliwym dowcipem, ale nie ma tego spokoju i równowagi, bez któréj humor obejść się nie może. Niejednokrotnie już i całkiem słusznie chwalono Szczutek za jego sprawiedliwość i bezstronność. Będąc swobodnym zupełnie, nie krępując się żadnemi ubocznemi względami i stronniczością, schłostał Szczutek już nieraz tych, których dawniéj brał w obronę. Szczutkowi można by zarzucić, że nie umie należycie uklasyfikować spostrzeżeń swoich i wiedziony chwilowem wrażeniem wojuje cierpkim sarkazmem albo zbyt bolesnym dowcipem tam, gdzie większa pobłażliwość albo zupełnie milczenie byłoby lekarstwem daleko skuteczniejszem. Nigdy jednakże taki fałszywy krok nie wyniknął ze stronniczości. Tym zaletom zawdzięcza Szczutek stanowisko, jakie sobie mimo swoich nader szczupłych ram wyrobił w dziennikarstwie lwowskiem. Dziś każdy liczy się ze Szczutkiem, bo wpływ jego zwiększa się widocznie z każdym dniem.

Artystyczna strona Szczutka nie zawsze odpowiada w zupełności tym wymaganiom, jakim pismo illustrowane odpowiadać winno. Ale wydawcę usprawiedliwia poniekąd niski stan lwowskiego drzeworytnictwa, a zresztą Szczutek nie rzadko podaje wyborne ryciny, zwłaszcza gdy ich tematem są karykatury osobistości politycznych. Życzyć by należało Szczutkowi, ażeby rozszerzył swoje dzisiaj już może zanadto szczupłe ramy. Za rozszerzeniem ram nastąpiéby mogła i reforma wewnętrzna, a wtedy staćby się mógł może Szczutek poważnym organem prawdziwego humoru.

Djabeł ma zupełnie odmienną fizionomię. Czytelnik znajduje w nim nieraz za wiele powagi i téj posępnéj kontemplacji, któréj pozbyć się nie może żaden Krakowianin. Ale odmówić mu nie można że jest pismem humorystycznem poważniejszego kroju, i że bardzo trafnie pojmuje swe zadanie. Djabeł rzadko ubiega się za błyskami efemerycznego dowcipu i za zjadliwym sarkazmem, ale patrzy za to na świat i ludzi z poważniejszego stanowiska, wnika głębiéj w istotę rzeczy, porusza ważniejsze kwestje polityczne i społeczne, przemawia prawie zawsze ze spokojem i umiarkowaniem. Illustracje Djabła odznaczają się trafnością w pomyśle i starannością wykończenia.

Równocześnie z Djabłem zaczęło wychodzić w Krakowie pismo nieperjodyczne pod zbiorowym tytułem: *Abecadlnik humorystyczny*, którego każdy numer inny nosił tytuł w abecadłowym porządku. Po wydaniu jednego tomika wydawnictwo zostało zawieszone. Abecadlnik nie obudził żywszego zajęcia, może nie tyle dla braku dowcipu ile dla braku wybitnéj tendencji, a przynajmniéj stalszego kierunku.

Z początkiem bieżącego roku powiększyła się

liczba pism humorostycznych w dwójnasób. W Krakowie powstało małe dwutygodniowe pisemko: *Coś* a we Lwowie po dwuletniem milczeniu ozwał się *Chochlik*, który dawniéj u publiczności naszéj bardzo wielką posiadał popularność. *Coś* przypomina bardzo Abecadlnik humorystyczny i zdaje się być jego perjodyczną kontynuacją. Najdowcipniejszą rzeczą w tem piśmie jest może jego oryginalny tytuł, i program ogłoszony w pierwszym numerze a podany prawie w całości w lwowskiéj korespondencji Tygodnika. Dotąd wydane numera nie odpowiedziały tym oczekiwaniom, jakie obudził pierwszy numer, a obecnie całe wydawnictwo jest podobno mocno zachwiane.

(d. c. n.)

Pogadanka.

Warszawa posmutniała! Grymasy nie tworzą dobrego humoru, tymbardziéj gdy niemi darzy tak wielka kapryśnica, jaką jest jesień, znana ze swéj zmienności i nieznośnych wybryków pogody. Deszcz, flaga, czasem chwilowy pobłysk promieni słonecznych, niekiedy gradzik lodowaty siekący przechodniów niby rózga niesforne dzieci, oto dzieje atmosferyczne całego prawie Września.

Pożegnał też nas Bilse ze swą wyborną orkiestrą, pożegnały teatralne trupy z niezłym zapewne zarobkiem, zamknęły się ogródki miejskie, skończyły zamiejskie wycieczki, tylko jeden ogród Saski choć głucho szeleści pożółkłym liściem, z jedną zawsze gościnnością otwiera wejścia i przyjmując licznych przechodniów, ułatwia marzenia o letnich wsi rozkoszach. W przestrzeniach powietrznych przepływają chmury, gnane wichrem przejmującym zimnem aż do kości: czasem uderzy nas z góry krzyk dzikich gęsi, długiem pasmem szybujących gdzieś tam na moczary i oparzeliska, a w miejsce szczebiotu jaskółek i w miejsce rozgoworu różnych ptaszyn, zlatujących się do Warszawy na letnią siedzibę, słyszymy tylko poświst wróbli, kraczenie wron i kawek, i trajkot uliczny wiecznie czynny i nigdy nieustający.

Płynące ztąd niezadowolenie Warszawy zupełnie usprawiedliwione. Co tu zrobić z sobą, szczególniéj w dzień świąteczny, gdy nadto pluszcze z góry, a klapie pod nogami? W ogródkach chłód nęcił wszystkich, a gdy mu towarzyszył dźwięk muzyczny lub gra artystów teatralnych, cóż można było żądać więcéj za kilka dziesiątek wydatku.

Kilka dziesiątek.... rzecz to nie małéj wagi. Niedawno, z powodu podwyższenia o jedną dziesiątkę ceny wejścia na koncerty p. Bilsego do doliny Szwajcarskiéj, Warszawa tyle się nagadała i nawzdychała za pośrednictwem Kurjera Warszawskiego, że sądzić by należało iż się nagle stała miastem najoszczędniejszem w świecie. Z pozoru część rozgniewanéj o to publiczności miała wielką słuszność bo zdawało się, że wychodząc dotąd przez lat kilka bardzo korzystnie na cenie wejścia dwudziesto kopiejkowéj, pan Bilse powinien był cenę tę „i nadal utrzymać i że tym sposobem podwyższając ją, pragnie jedynie korzystać z życzliwego dla siebie usposobienia Warszawy. W gronie tak utrzymujących był i Wasz Gawędziarz, ale ten zmienił zdanie bliżéj się w rzeczy rozpatrzywszy. Orkiestra p. Bilsego wiele w tym roku na doborze składających ją artystów zyskała, i nietylko jako zbiorowe ciało była wyborną, ale miała kilku solistów, jakich dawniéj wcale nie posiadała. Przy ich to pomocy, szczególniéj skrzypka p. Mejera, poznaliśmy się z kilku koncertami Paganiniego, Spohra i Lipińskiego, publiczności warszawskiéj mało znanych, a takich skrzypków co podobne utwory z zadowoleniem słuchaczy wykonywają trzeba dobrze płacić. Pan Mejer i inni pierwszorzędni artyści w orkiestrze p. Bilsego, byli pła tni podobno po rubli sto miesięcznie.

Nadto z ukończeniem nieszczęśliwéj wojny, w Niemczech wzmaga się drożyzna i to tak pośpiesznie, że wszystko dziś tam niemal dwa razy tyle kosztuje co dawniéj. Utrzymanie więc i członków orkiestry musi być droższe, zwłaszcza że podobnéj nie ma ani w Berlinie ani w Wiedniu, a we Wrocławiu, Dreznie, Lipsku i Pradze, ratują się aż muzyką wojskową, któréj choć często trudno słuchać, jednak trzeba opłacać dwudziestu kopiejkami. Jeżeli więc to wszystko weźmiemy na uwagę, podwyższona dziesiątka znajdzie wiele usprawiedliwienia.

Samo wejście do ogródków teatralnych żeby tylko patrzeć a nie słuchać, kosztowało złotówkę a miejsca numerowane nawet do rubla dochodziły. Nie gniewano się jednak na to rzeczywiste zdzierstwo, chociaż utrzymywanie wszystkich trup teatralnych ogródkowych nie kosztowało może tyle co jednéj orkiestry Bilsego. Bądźmy oszczędnymi, ale przedewszystkiem sprawiedliwemi.

Orkiestra w Szwajcarskiéj dolinie dobrze się wywiązywała ze swych obowiązków, i teatra letnie starały się spełniać je o ile można najlepiéj. Orkiestra Bilsego nudziła nas czasem powtarzaniem oklepanych kompozycji, ale i teatra letnie grzeszyły wyciąganiem starych fars zdziecinniałych prawie od zgrzybiałości. Orkiestra za mało nas darzyła utworami krajowych kompozytorów, i jeżeli wystąpiła to z drobnostką lub lichotą nie mającą żadnéj muzycznéj wartości, pomijając utwory większe przynoszące chlubę krajowemu artyzmowi, teatra ogródkowe chętniejsze były do nowości: ale wyraźnie brakowało im materjałów, a tym których użyły brakło dobrego smaku co bawi a jednak nie drażni ani obraża.

Nowe to przedsiębiorstwo teatralne tak szybko i pomyślnie rozwinięte w Warszawie, prassa perjodyczna wzięła w szczególną swą opiekę i dając często szczegółowe o przedstawieniach sprawozdania, udzielała rady domagając się przemiany ich w teatra ludowe. Dziwne to było żądanie.

Teatr czysto ludowy, potrzebuje przedewszystkiem odpowiedniego gmachu tak zbudowanego, aby mogąc zgromadzić znaczną ilość widzów, każdemu z nich zapewnił odpowiednią wygodę do wysłuchania dawanych w nim przedstawień.

W tak urządzonym gmachu, miejsca powinny być bardzo tanie, numerowane nie przechodzące dwóch złotych, a paradyz pół złotka a choćby zniżył się do dziesiątki, toby było jeszcze pożądańszem. Dla wybrańszéj publiczności mogłyby w nim być urządzone kilka lóż oddzielnych i pierwsze dwa rzędy krzeseł podniesione w cenie. Przytem teatr ludowy potrzebuje odpowiedniego doboru sztuk, treścią swą głównie obejmujących miejscowy żywioł, jego wady, śmieszności, przesądy, narowy, z dążnością najmoralniejszą, okraszoną prawdziwą komiką a nie jaskrawością słowa i zdrożnym układem kompozycji. Gmachu podobnego, ani sztuk odpowiednich nie posiadamy, jakże więc żądać można było przemiany teatrów ogródkowych w ludowe, kiedy te stanowiąc truppy prowincjonalne, darzą mieszkańców miast mniejszych zabawą jaką stale cieszy się Warszawa?

Aby teatrem ludowym mogła się poszczycić Warszawa, na to potrzeba wspólki akcyjnéj, bo zasoby pojedynczych ludzi, a tymbardziéj niezamożnych przedsiębierców teatrów prowincjonalnych, są za małe aby coś podobnego mogły wykonać. Za granicą bogatsi wzięli się do tego: zbiorowemi siłami w każdem niemal większem mieście urządzili podobne widowiska i dziś cieszą się podwójną korzyścią, bo i własną i wpływem zbawiennym na ogół biedniejszych współbraci. Pojęcie działalności w kierunku dobra ogólnego było im głównym do tego bodźcem, być może że obfitość kapitałów i trudność procentowania ich stanowiła tu niemałą pobudkę, zawsze jednak godni pochwały, bo pieniężne zasoby mogli trzymać w papierach publicznych procentowych, a jednak nie zrobili tego. U nas są także kapitaliści, ale ci oprócz pożyczek hypotecznych żadnemi się innemi spekulacjami nie zajmują. Żeby ich kilku miało całe swoje mienie poświęcić na jakie przedsięwzięcie choćby najszlachetniejsze, nie wymagamy tego. Każda spekulacja choćby najlepiéj pomyślana jest niepewną, ale co trzech nie może zrobić, dopełnić może stu nadaniem cząstce swego mienia innego przeznaczenia zgodnego z wymaganiami czasu. Trzeba tylko na to troszkę dobréj woli i tego moralnego przekonania, że nie godzi się być bezczynnym, że mienie posiadane choćby najuczciwszą drogą, nie zwalnia nas z obowiązków społecznych, jako ludzi i jako obywateli kraju. Tego u nas brak ogromny, być może że nie z naszéj zupełnie winy, ale wyjść z tego błędnego kółka niedziałalności koniecznie nam należy, bo od tego zależy dobro wszystkich, a więc i tych co do jego poprawy rękę swoją przyłożą.

Narzekamy na niemoralność całéj służby domowéj, na bałamuctwo rzemieślniczéj i wyrobniczéj klassy, a cóż robimy, aby służba była moralniejszą a rzemieślnicy i wyrobnicy więcéj pilnowali pracy jak bałamuctwa? Do poprawy ich teatr ludowy wieleby się przyczynił.

W zawiązywaniu towarzystw wymagających małych składek pieniężnych, w ostatnich czasach dosyć okazaliśmy skwapliwości i do tego z wypadkami jak najpomyślniejszemi. Kuchnie tanie, towarzystwo Merkurego, banki pożyczkowe, towarzystwo muzyczne są tego najlepszym dowodem. Obecnie rozwinięte są starania o uzyskanie pozwolenia na utworzenie towarzystwa wsparcia podupadłych literatów i gimnastycznego. Usiłowania to jednak saméj klassy mało zamożnéj, bogatsi trzymają się ciągle w dawnem bezczynnem odosobnieniu. Dotąd też namowy do utworzenia współki do rzezi bydła, do zaprowadzenia składu drzewa, założenia ogrodu zoologicznego i innych podobnych przedsięwzięć, długo jeszcze pozostaną głuchym brzękiem słów echa niewywołujących.

Jak tylko w Berlinie skutkiem zrobienia go głównem ogniskiem interesów cesarstwa niemieckiego, z podrożeniem życia podniosły się w cenie i mieszkania prywatne, zaraz majętniejsi pomyśleli o zapobieżeniu téj wielkiéj niedogodności i zawiązali współkę do wybudowania pięćset domów mieszkalnych, z zamiarem wynajmowania ich po umiarkowanych cenach. Każdy dom zawierać będzie sześć oddzielnych mieszkań, a więc wszystkich będzie trzy tysiące, złożonych z dwóch pokoi, kuchni komórki z ceną nie przenoszącą rocznie sześćdziesięciu talarów. Jest to zapłata niezmiernie umiarkowana w Warszawie za pomieszkanie takie w dalszym punkcie miasta trzeba dać najmniéj tysiąc złotych, a przy ulicach pierwszorzędnych półtora tysiąca.

U nas o podobnem przedsięwzięciu niktby nawet nie pomyślał, a dowodem tego pogłoska, że towarzystwo kapitalistów i przemysłowców zagranicznych, zamierza urządzić w Dachowéj pod Sochaczewem, a więc o sześć czy osiem mil od Warszawy, przędzalnię na wielką skalę. Szkoda, wielka szkoda żeby tak piękne i korzystne przedsięwzięcie, w obcych znalazło się rękach.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N. 1066*k*)   Дозволено Цензурою.   Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 39. 1871 r.

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Stara mówiła z takiem wzruszeniem, jakby tu chodziło o zbawienie jéj duszy; nie wiedziała ani zdumienia Steinlachów, ani uśmiechu Malwiny, oko jéj było ciągle utkwione w Ryszarda, którego usta, pod wpływem widocznéj walki, jakby oniemiały, i szukało jego spojrzeń, spoczywających na młodéj pięknéj twarzyczce, która miała dla niego tyle uroku.

— To rzecz wielkiéj wagi, pani Steinlach, rzekł nareszcie; dar, którego przyjęcie wymagałoby może dłuższego namysłu.

Stara tłumiąc w sobie oddech, położyła rękę na jego ramieniu, on mówił daléj:

— Trudno przyjąć, trudno odmówić, ale cokolwiek postanowię, nigdy nie przestanę być pani wdzięcznym za życzliwość i zaufanie. Czyż jednak nie podobna zmiękczyć serce pani dla nieszczęśliwych krewnych?

— Niepodobna, odpowiedziała prędko.

— Gdybym miał przyjąć ten dar, pani Steinlach, mówił daléj powoli i z namysłem, ośmieliłbym się, jakkolwiek zda się to może niewdzięcznością, postawić warunki, zmierzające do mego i pani dobra.

Spojrzała na niego badawczo.

— Jeżeli tu nie idzie o to, aby Ferdynandowi Steinlach powrócić co sam roztrwonił, poddaję się wszelkim warunkom. Czyste niepokalane serce powinno tu objąć ster, a pobożne serce pozyska błogosławieństwo, na którem tu od tak dawna zbywało.

— Czy chcesz pani wysłuchać warunków, przyjęcia tak bogatego od ciebie daru? zapytał Ryszard. Pierwszym jest, że prócz wolnego pomieszkania będzie pani zapewniona renta tysiąc pięćset talarów zahipotekowana na gruncie na pierwszem miejscu, i dopiero po śmierci pani przejdzie na właściciela.

— Na co tyle? zapytała. Mamże powtórnie oszczędzać dla ciebie? Gdy się ziści jedyne życzenie mego serca mało potrzebować będę. Nie opuszczę tych miejsc w których płakałam i cierpiałam, groby moich synów będą niedaleko odemnie, a kwiatów dla zdobienia ich, wszędzie jest pełno. Zresztą wszystko jest mi obojętne, cały świat mię nie obchodzi.

— Trudno by mi było odstąpić od tego warunku, rzekł Ryszard.

— Dzieciństwem jest obstawać przy tem, odpowiedziała wzruszając ramionami, lecz nie chcę być twoim mentorem, niech i tak będzie.

— Pani składasz dobrowolnie swój majątek w moje ręce, abym nim rządził według mojego uznania. Ale czyny ludzkie są rozmaite, jak ich skłonności i potrzeby, ja zaś chcę działać według mego, nie według pani zdania i nie chcę składać ani rachunków, ani być odpowiedzialnym za moje postępowanie. Pani potępiłaś sposób życia mego poprzednika, znajdą się ludzie, którzy ganić będą postępowanie pani: naturalną jest rzeczą, że i moje czyny rozmaicie sądzone będą. Przyrzeknij mi pani zatem, że nietylko imiennie lecz rzeczywiście będę panem majątku, który mi powierzasz.

Pani Sybilla spojrzała podejrzliwie na właściciela fabryki, który równie jak jego żona z największą ciekawością czekał na czem się skończy to wszystko.

Ryszard zrozumiał obawę pani Sybilli.

— On nie będzie panem Bonrathu! zawołał żywo, to mogę zaręczyć.

— Bądź więc ty! rzekła stara, drżąc z niecierpliwości; twoja wola niech wszystkiem rządzi, a zamysły twoje niech będą błogosławione. Wziąwszy szkatułkę z papierami i obligacjami, złożyła ją w ręce Ryszarda. Bierz, to twoje, oni są świadkami, żeś przyjął; cofnąć się już nie możesz.

— Nie cofnę się, rzekł, i dziękuję pani całem sercem!

Gdy się zwrócił do pana Steinlach, tenże podał mu rękę blady i wzruszony, ale z wyrazem serdecznéj przyjaźni.

— Życzę ci szczęścia Ryszardzie, powiedział: ciotka nie mogła zrobić lepszego i słuszniejszego wyboru, bynajmniéj nie myślę się użalać.

Georginia płakała, lecz i ona ścisnęła go za rękę. Malwina w uniesieniu radości zawołała:

— O ciotko, jakże jesteś dobrą! Wiesz Ryszardzie, myślałam że nie przeżyję rozłączenia z Bonrathem, tak mi było smutno, gdym popatrzyła na opustoszałe gruzy, gdym pomyślała, że mamy wszyscy rozproszyć się po świecie. Ale teraz ty zostaniesz, wszystko będzie jak przed tem, a myśl moja jednym rzutem ogarnie, ciebie i mój kochany Bonrath. Na wiosnę Ryszardzie, gdy się wszystko zazieleni, zaprosisz mnie i mamę, abyśmy mogli zobaczyć wszystko i nacieszyć się tem co tak kochamy. O, cóż to będzie za radość!

— Moja kochana Malwino, odrzekł Ryszard z uczuciem, nie opuścisz tego miejsca, w którem byłaś tak szczęśliwą. Ty jesteś błogosławieństwem tego domu i życia mojego jedyną nadzieją. Bez tego błogosławieństwa w niwecz obróciłaby się moja praca. Powiedziałaś mi sama, że niewiedziałaś do dziś, jak cenisz Feliksa Amstetten. Ja jednak o tem dawno wiedziałem, a czego wam brakowało do szczęścia, mogę wam dzisiaj udzielić. Aby się spełniła wola pani Sybilli, pozostanę do śmierci dyrektorem fabryki, a ty będziesz właścicielką. Spojrzyjże mi w oczy wesoło, nowa fabryka jest ślubnym dla ciebie podarunkiem.

Pod wpływem gwałtownego wzruszenia przycisnął ją na krótką przemijającą chwilę do serca i szybko wyszedł z pokoju; rozpaczliwy krzyk pani Sybilli nie doszedł już jego uszu. Malwina, niedawno rozpromieniona dziecinną radością, pobladła nagle jak śnieg marcowy, na górach błyszczący.

— Moim podarunkiem ślubnym, rzekła wreszcie z cicha. Malwina posiędzie Bonrath, ale ją nikt swoją nie nazwie.

XI.

Na cmentarzu wzbił się w powietrzu skowronek po nad pysznym marmurowym posągiem, a śpiew jego mącił spokojność samotnéj kobiety klęczącéj na zimnych stopniach. Zwolna podniosła się z kolan, była to Sybilla: spojrzała za ptaszkiem, który swobodnie i wesoło bujał po błękicie, i patrzyła za nim z niewypowiedzianą tęsknotą, póki jéj nie zniknął z przed oczu. Szczęśliwy, kto może zrzucić z siebie ciężar, kto się ukorzyć umie. Pani Sybilla nie umiała tego. Ale w końcu i najtwardszy kamień kruszy się i rozpada: nieugięte serce pani Sybilli odebrało dzisiaj śmiertelny cios. Tak roztropnie obliczyła, tak silnie obstawała przy swojem, w końcu prosiła, aby Ryszard przyjął szczęście z jéj ręki, a on przyjął i rzucił je zaraz komu innemu. Nie widziała się już potem z Ryszardem, i Steinlachów nie było już w pokoju. Gdy przyszła do siebie z okropnego przestrachu, wiedziała że już nic zmienić nie można, a była nadto dumną, by się miała uciec do wymówek lub wyrzutów. Ale poraz pierwszy zapytała sama siebie, czy tym podarunkiem rzeczywiście chciała uszczęśliwić Ryszarda? To, co się teraz stało, było jego życzeniem postąpił według własnéj woli i głosu swojego serca, chciała więc zmusić i swoje serce, aby z tego było zadowolone. Ale nadaremnie; o ile serce jéj było twardem, o tyle umysł widział rzeczy jasno; otóż na dnie duszy Ryszarda widziała obraz Malwiny.

O, nie wiele jéj brakowało, aby popaść w rozpacz. Nigdy nie sprzyjała rodzinie Amstettenów, ale gdy pomyślała że Feliks miał zabrać to wszystko, co się należało Ryszardowi, omal nie pękło jéj serce z goryczy i żalu. Myśli te towarzyszyły jéj aż tutaj, aż na cmentarz, i wciskały się w jéj modlitwę i Sybilla wracała do domu jak przyszła, nie pokrzepiona na duchu.

Gdy wchodziła na schody swojego pomieszkania, postrzegła służącą, która na nią w sieni czekała.

— Przyjechali goście, rzekła, hrabia Amstetten i jakiś obcy pan; panna ich przyjęła.

Sybilla ociągała się; nie lubiła Amstettenów i nie miała wcale ochoty przerywać Gertrudzie spotkania. Ale służąca spostrzegła jéj wahanie.

— Panowie pytali tylko o panią, już dawno chciałam panią o tem zawiadomić, ale nie śmiałam.

Sybilla namyśliła się. Postanowiła raz na zawsze uwolnić się od podobnych odwiedzin i z tem postanowieniem, które wyraźnie malowało się na jéj twarzy, weszła do pokoju.

— Pani Steinlach, rzekł Paweł z szlachetną otwartością i swobodą, która ją nieraz już rozbrajała, ponieważ przypominała jéj Ryszarda; proszę najprzód o przebaczenie, że ośmielam się przerywać pani samotność. Uczyniłem to z grzeczności dla tego pana, a oraz w przekonaniu, że może będę i pa-

ni użytecznym, ułatwiając mu wstęp. Jest to pan Thornton z St. Louis i życzy sobie zabrać z panią znajomość.

Pani Sybilla powitała Pawła lekkim skinieniem głowy, lecz gdy usłyszała nazwisko obcego, w płowych jéj oczach dziwny zabłysł ogień, i twarz na krótką chwilę powlekła się czerwonością.

— Chciałbym, rzekł pan Thornton z ukłonem, który odwzajemniła ceremonialnie, pomówić z panią o sprawie, ważnéj dla mnie, a może i dla pani.

— Czy pan hrabia ma być przytem koniecznie obecnym? zapytała przerywając mu prędko i wskazując na Pawła.

Obcy zdumiał się.

— O nie pani, obecność jego nie jest konieczną, mniemałem tylko, że będzie nam obojgu przyjemną.

— Dla mnie, nie, odpowiedziała krótko, owszem przeszkadzałoby mi, o ile interes pański mnie saméj dotyczy. Jestem stara i dawno odwykłam od ludzi, niech pana nie dziwi moje postępowanie. Gertrudo, poproś pana hrabiego do drugiego pokoju i zabaw go przez czas naszéj rozmowy.

Paweł nie obraził się tem wcale, znając oddawna niegrzeczność staréj dziwaczki, ale pan Thornton uczuł się niemile dotkniętym, i postanowił przystąpić wprost do rzeczy, aby sprawę załatwić jak najprędzéj.

— Słyszałem, że pani kupiła zwaliska fabryki w Bonrath? zapytał Thornton.

Pani Steinlach kiwnęła głową w milczeniu na znak odpowiedzi.

— I ja miałem ten zamiar, mówił daléj, ale moja córka miała wypadek, co nie pozwoliło mi być obecnym na licytacji. Wiele mi zależy, abym posiadał tę realność; mam bowiem rozmaite plany, które trudno byłoby mi zmieniać. Chciałam więc zapytać, czy pani nie raczyłabyś odprzedać mi swojéj nowéj posiadłości i pod jakiemi warunkami.

— Realność nie jest już moją, rzekła szorstko i krótko jak zwykle.

Amerykanin zerwał się z krzesła.

— Już sprzedana? w tych kilku godzinach? to niedowierzenia.

— Gdybym była powiedziała, że sprzedana, mógłbyś pan rzec, że to niedowierzenia, bo niebyłabym nigdy sprzedała. Darowałam.

— Darowałaś pani? krzyknął Thornton z nieutajonem zdziwieniem, darowałaś realność wartości 38,000 talarów? Ach pani, to wspaniałe. Czy mogę zapytać kto był tak szczęśliwym?

Milczała chwilę, jakby się namyślała co odpowiedzieć.

— Pan Hood, rzekła wreszcie, bystro i badawczo w oczy amerykaninowi; wychowaniec Steinlachów.

— To prawdziwie po macierzyńsku. Proszę pani, a czy ten pan nie zechciałby wejść ze mną w interes?

— Chociażby chciał, to już za późno, odparła z tą samą spokojnością.

Realność nie należy już do niego, także ją darował.

— Ależ dla Boga pani, czyż w Niemczech rozdają się dobra jak cukierki! zawołał Yankes uderzając w dłonie.

— Zachodzą tutaj szczególne okoliczności, które usprawiedliwiają takie postępowanie, rzekła, ale nie widzę powodu objaśniać panu co to są za okoliczności.

Umilkł, lecz po chwili zapytał znowu:

— Czy mogę prosić panią o nazwisko rzeczywistego właściciela?

— Panna Malwina Steinlach, odpowiedziała sta- ra, lecz jest to osoba siedmnaście lat licząca a więc małoletnia. Interes nie da się tu zrobić.

— Posiadłość zostaje zatem w rodzinie, mówił daléj pan Thornton, zdradzając ciekawość wrodzoną jego narodowi, a może pan Hood będzie współwłaścilem? może oboje ci młodzi ludzie wejdą w spółkę?

— Nie pytałam wcale o to, odpowiedziała Sybilla niecierpliwie.

— Bądź co bądź, rzekł znowu pan Thornton, młody mój ziomek dał tu rozrzewniający dowód wdzięczności, dumny jestem, że mogę nazwać go moim ziomkiem.

— Zapewne, że z tego możesz pan być dumnym, odparła pewnym głosem Sybilla.

— Ach pani, jakże mię to cieszy, że Niemka tak pochlebnie wyraża się o Amerykaninie, zawołał pan Thornton. Lecz wdzięczność należy się i pani: pan Hood nie byłby Amerykaninem, gdyby o tem zapomniał co pani zawdzięcza.

— Czy pan wiesz co mi zawdzięcza? zapytała z szyderską szorstkością.

Ta lakoniczność zaczęła wprawiać w zły humor dobrodusznego w gruncie człowieka.

— Słyszałem o tem od hrabiego Amstetten, a wypytywałem go nietylko ze współczucia dla ziomka, ale i dla tego, ponieważ obchodzi mię także rodzina zmarłego Steinlacha szwagra pani, z którym niegdyś miałem stosunki.

— Wiem o tem, rzekła urywając prędko.

— Pani wie? zapytał jakby urażony, nie domyślałem się tego po przyjęciu jakiego doznałem.

— Nie sądziłam, że to miłe dla pana wspomnienie. Ostatnie stosunki pana z moim szwagrem i jego domem, przyniosły jemu zgryzotę a panu może żal. Po cóż odświeżać te wspomnienia?

— Masz pani słuszność, rzekł smutnie, miałem ztąd i ja wiele zgryzoty. Ale działałem w dobréj wierze. Zkąd pani wiesz o moim współudziale w téj smutnéj sprawie?

— Wszystkie papiery są w mojem ręku. Jeszcze dziś z rana oglądałem metrykę ślubu mojéj synowicy, na któréj jesteś pan podpisany jako świadek.

— Chociaż wyznałem pani, że uczułem zgryzotę zabrał głos znowu, proszę nie sądzić, że ta zgryzota była nieczynną. Biedna Fanny, powodowana niestety fałszywą dumą, dopiero wtedy zawiadomiła mię o swojem położeniu, gdy już dawno była opuszczoną. Niegodziwiec, aby zmylić poszukiwania, skłamał przed nią, że ma odebrać dziedzictwo we Francji. Wszystkie poszukiwania były nadaremne, aż nareszcie przyszła śmierć i pokonała jéj upór. Najlepiéj zrobiła, że napisała do ojca. Radzili jéj to wszyscy dobrze myślący i ja uznawałem, że jéj dziecku lepiéj będzie u dziadka, niż u tego łotra, który ją oszukał i opuścił. Sam chłopca odprowadziłem na pokład gdy z panią Hood odjeżdżał do Europy. Wyborny to był malec, szkoda że umarł; mógł być tak szczęśliwym...

— Bardzo szczęśliwym, rzekła jakby przez sen.

— Dwa tak piękne dziedzictwa! dodał pan Thornton.

— Dwa? spytała, jak to pan rozumiesz?

Obejrzał się ostrożnie po pokoju.

— Znalazłem dziś jego ojca.

Na ustach pani Sybilli pojawił się znowu gorzki szyderski uśmiech.

— To pan nazywasz pięknem dziedzictwem? Wszystkie świecidła i wszystkie gałgany komedjanckiego gospodarstwa, nie zdołały zakryć brudu jego żywota: splamione na wieki nazwisko jest całym jego dostatkiem. Wielkie pytanie czy syn, gdyby żył, chciałby przyznać się do takiego dziedzictwa, czy w ogóle należałoby uwiadomić go że do tego dziedzictwa ma prawo.

— A, pani myśli, że to dyrektor teatru? zapytał pan Thornton z miną filuterną. Jesteś pani w błędzie. Przed kilku laty przybywszy do Niemiec, spotkałem przypadkiem tego człowieka i wywiadywałem się, czy nie zna kogo innego tego samego nazwiska lecz upewnił mię, że on jest jedynym potomkiem swego rodu. Uwierzyłem temu, i dopiero dziś, gdy moja córka i ja znaleźliśmy gościnne przyjęcie w zamku Amstetten, portret zmarłego hrabiego uderzająco podobny, wskazał mi gdzie powinienem był szukać winowajcy. Nim został hrabią Amstetten, był on także baronem Wallmuth. Dyrektorowi teatru chętnie przebaczam, że jako brat, zamilczał hańbę zmarłego, któréj zmazać już było niepodobieństwem. Ale dla Boga, pani blednieje siadaj pani, zadzwonię, aby przyniesiono szklankę wody.

Dobywając ostatnich sił, zawołała rozkazująco.

— Daj pan pokój, nie lubię zwracać uwagi. Czy jesteś pan pewnym, że się nie mylisz co do tego portretu?

— Najzupełniéj, podobieństwo jest uderzające a zresztą i podpis pod portetem służy za dowód.

— Czy wspomniałeś pan komu o swojem odkryciu? zapytała z gorączkową ciekawością.

— Nie, chociaż brat powinien być przekonanym, że mi się otworzyły oczy. Przyjęto mię i moją córkę tak gościnnie, tak uprzejmie, nie pytając ani o stan, ani o nazwisko byłoby więc niewdzięcznością, gdybym za to obarczał hańbą pamięć męża i ojca, która może dotąd szanowano. Oczywiście, gdyby Ryszard żył jeszcze, i gdyby milczenie moje przeszkadzało mu do odebrania dziedzictwa, do którego jako pierworodny syn Roberta Amstetten miał niezaprzeczone prawo, byłoby to z mojéj strony ciężkim grzechem. Ale tak, niech umarli spoczywają w pokoju, a żywi niech używają.

— Nie, nie! krzyknęła nagle z wyrazem gwałtownego roznamiętnienia, dziwnie odbijającego od lodowatéj spokojności, którą dotychczas okazywała. Dość kłamstwa, dość przekleństwa, niech się stanie światło, aby pokój nastał.

Nic dziwnego że te niezrozumiałe słowa, ta nagła zmiana usposobienia pani Sybilli, przeraziła pana Thornton do najwyższego stopnia. Zerwał się z krzesła i schwyciwszy prędko za sznurek od dzwonka, pociągnął go nie zważając na jéj opór. Do pokoju wszedł Ryszard i z wyrazem najwyższego zdziwienia spojrzał na obcego.

— Ktokolwiek jesteś mój panie. zawołał pan Thornton, uradowany że zobaczył ludzką istotę, bo Sybillę podejrzywał o obłąkanie: jeżeli tu jesteś znajomym, zawołaj kogo na pomoc, ta pani zdaje się być chorą.

Sybilla odzyskała już moc nad sobą.

— Cicho Ryszardzie! zawołała z gniewem i trzymając go silnie za rękę, nie jestem ani chorą ani obłąkaną. Odetchnąwszy potem głęboko i zebrawszy wszystkie siły, zwróciła się do pana Thornton i rzekła: Chciałeś pan wiedzieć kto jest ten młody człowiek —prócz mnie, nie masz na świecie nikogo, co by to panu mógł powiedzieć. Jest to Ryszard hrabia Amstetten, dziedzic Bonrathu, syn Fanny, Sybilla Steinlach była oszustką!

Pan Thornton krzyknął z zadziwienia. Ryszard stał jak wryty przypuszczając, że mniemanie obcego iż pani Steinlach dostała pomięszania zmysłów było prawdziwem. Ona patrzyła ciągle na niego jasnemi, niezmrużonemi oczyma, okropne słowo oskarżenia siebie saméj wyrzekła pewnym głosem, stawała się tylko coraz bledszą i dopiero gdy Ryszard przyszedłszy do siebie zbliżył się do niéj, aby ją wesprzeć opuściły ją siły i zemdlona padła w jego objęcia.

XII.

Podczas gdy żelazna wola Sybilli uległa pod okropnym ciosem jaki zadało jéj ostatnie odkrycie, w drugim pokoju rozstrzygał się los Pawła, który Gertruda tylko mogła osłodzić.

Młode dziewczę, siedząc naprzeciwko niego z bijącem sercem i spuszczonemi oczyma, ani się domyślało z jakiem utęsknieniem oczekiwał wyroku z jéj ust, inaczéj byłaby pewnie podniosła oczy, aby mu dodać odwagi. Chociaż tak wiele mieli sobie do powiedzenia, rozmowa zrywała się co chwila, a każdy przestanek nową był dla Gertrudy przykrością. Nie broniła się jednak, gdy jak niegdyś w szczęśliwych chwilach wziął jéj rękę do ust przytulając.

Wiedziała, że po raz wtóry stoi na drodze do szczęścia, na tem samem miejscu co niegdyś, na którem zachwyciła ją burza i rzuciła daleko, aby ją pogrążyć w nocy zapomnienia. Tak, było to, to samo miejsce, droga zdawała się jéj tak jasną, cel tak ponętnym jak w owych dniach, i pomimo okropnego złudzenia które przeżyła, serce biło jéj z taką samą ufnością jak wówczas, a silnych jego uderzeń nic nie hamowało, ani głos przestrogi, ani powątpiewanie.

— Moja droga Gertrudo! rzekł wreszcie Paweł głęboko wzruszony; czyż jesteś, znowu moją Gertrudą?

Nadaremnie szukała słów, aby mu odpowiedzieć. W końcu twarz jéj rozpłomieniona pochyliła się ku jego piersi. Paweł wziął ją w objęcia.

— Ryszard, rzekł po chwili, prosił cię w mojem imieniu, abyś mi przebaczyła i ufała. Czyż stało się to Gertrudo?

— Tak jest, szepnęła drżącym głosem.

— Czy będziesz moją po raz drugi? zapytał wzruszony, czy możesz znowu z ufnością oddać mi tę rękę, którą mi już raz wydarły nieszczęśliwe okoliczności?

Spojrzała mu w oczy, jakby chciała siebie i jego upewnić o swojem przywiązaniu.

— O tak, rzekła, z całą ufnością.

— Moja Gertrudo! zawołał, jakże jestem ci wdzięczny, jakże jestem wdzięczny losowi, że znowu porozumienie może stanąć pomiędzy nami! Słuchaj najprzód, a potem sądź; chciałem mieć pewność twojéj miłości, ale nie chciałem cię wiązać, dopóki nie poznasz moich stosunków. Przedtem rzadko mówiłem z tobą o mojéj przeszłości: teraźniejszość była tak piękna, a moja przeszłość nie miała wiele wdzięku. Ojciec mój—mało go znałem, nie mogę go więc oskarżać — nie wiele troszczył się o nas, matka wszystkiem nam była. Nie zaznała szczęścia, serce jéj usychało w samotności, pókiśmy go nie zrozumieli. Kochaliśmy ją nad wszystko za jéj cierpliwość, za jéj smutki, i miłość macierzyńską, patrzyliśmy na nią z uwielbieniem a jéj łzy wylewane potajemnie, których źródło odgadywaliśmy, nie mogąc go zatamować, podsycały nasze przywiązanie. Ojciec żył w mieście u dworu, matka z nami na wsi. Ojciec w młodości burzliwe prowadził życie, i nadaremnie usiłował zapewnić sobie los w Ameryce północnéj. Powrócił dopiero wtedy, gdy w skutek śmierci swego stryja, hrabiego Amstetten, odziedziczył niespodziewanie jego tytuł i majątek. Według prawa majątek ten byłby przypadł starszemu bratu mojego ojca, gdyby nie to, że brat ten niegodziwem i ohydnem postępowaniem, stał się niegodnym tego prawa. Był on dyrektorem wędrownéj trupy aktorów, rozpił się, pojął za żonę kobietę najgorszéj reputacyi i gotował rodzinie tym sposobem hańbę i zgryzoty. Ojciec mój objąwszy majorat wyparł się zupełnie brata, który jemu i jego nazwisku tak mało przynosił zaszczytu; matka jednak chociaż go nigdy nie widziała, i chociaż żadne węzły krwi z nim jéj nie wiązały, powodując się dobrocią serca, wspierała go często, pomimo iż sama bardzo skromny dochód pobierała od ojca. Wsparcia te powiększyły się znacznie, gdy matka po śmierci ojca mogła rozporządzać większemi funduszami. Bolesnem jest to dla nas Gertrudo, że dopiero śmierć ojca spełniła życzenie nasze, ujrzenia matki szczęśliwszą. Powoli przyszła do siebie po tylu smutkach, odkąd zapoznanie i lekceważenie, zawisłość i upokorzenia któremi się tak długo karmiła, przestały być jéj udziałem! Wielka. szlachetna jéj dusza zrzuciła zwycięzko więzy, które ją krępowały, a ja i Feliks cieszyliśmy się tem i kochaliśmy ją prawie jeszcze więcéj w szczęściu jak wówczas, gdyśmy ją widzieli płaczącą a łez jéj osuszyć nie mogliśmy. Ojciec mój rozmyślnie unikał Amstettena, matka nigdy go nie widziała, ja nigdy nic ciekawego ani zajmującego o nim nie słyszałem, gdy nakoniec roztropność tu się przenieść nakazała. Miał to być pobyt przemijający, ale miłość przykuła mię do tego miejsca, tak, że już nie mogłem go porzucić.

Owego wieczoru Gertrudo, kiedym ci wyznał miłość moją, mówił daléj, szczerze odsłoniłem ci serce moje i wszystko co ci ofiarowałem, było w oczach moich prawdziwe i czyste: gorąca miłość i uczciwe serce, niesplamione imię i to, co świat nazywa świetnem stanowiskiem. Nie dostawało mi tylko pozwolenia matki, ale nie troszczyłem się o to, bo wiedziałem że mi go nie odmówi. Czemuż nie mogłem przewidzieć, że nim uzyskam jéj błogosławieństwo, utracę tymczasem wszystko, bogactwo i nazwisko i stanowisko, a tem samem możność posiadania ciebie.

Gertruda spojrzała na niego z przerażeniem, lekki cień zasępił jasne jéj czoło, lecz był to jedyny wyrzut, który odbił się na niem. Paweł spojrzał jéj w oczy z wyrazem szczerości.

— Aby ciebie posiadać, mówił daléj Paweł, do tego nie potrzeba było pieniędzy i majątku, ale tu szło o cześć i spokojność staréj, a tak drogiéj memu sercu kobiety, która żyła tylko dla swoich dzieci, i ani w przeszłości ani w przyszłości nie posiadała nic prócz czci twojéj i naszéj. Gdym wrócił do domu oznajmiono mi równie niemiłą jak niespodziewaną wiadomość, że stryj mój, dyrektor teatru przybył z córką nieproszony. Zarazem powiedziano mi że matka moja zachorowała nagle, a gdym pospieszył do jéj łoża, obwieściła mi drżącym głosem jak wielkie nieszczęście zawisło nad naszym domem.

Kobieta która z taką godnością i rezygnacją zniosła tyle boleści i złudzeń, mówiła teraz do mnie z rozpaczą jakiéj nigdy w niéj nie widziałem. Opowiedziała mi że stryj przywiózł z sobą dokumenta sądownie uwierzytelnione, dowodzące, że ojciec mój nim się z matką moją ożenił, miał w Ameryce żonę i dziecko, żonę która, jak poświadczał akt zejścia umarła dopiero po urodzeniu brata mego Feliksa. Małżeństwo mojéj matki było więc nieważne, my zaś byliśmy dziećmi nieślubnemi. Czyż zdołam ci opowiedzieć trwogę i rozpacz téj nieszczęśliwéj kobiety, na samą myśl niezasłużonéj hańby swojéj i naszéj. Jesteś niedoświadczoną, młode serce twoje nie zdoła pojąć takiego smutku.

W nas widziała swoją nadzieję, swoją dumę i wszystko przetrwała. Teraz i to runęło w gruzy; myśl, że była tylko kochanką człowieka, który ani jéj nie kochał, ani nie szanował, myśl że dzieci jéj pozbawione będą nazwiska i majątku swego ojca, że wiecznie ciężyć będzie na nich plama urodzenia, zachwiała jéj umysł tak, iż nieszczęśliwa kobieta, zdawała się być bliską obłąkania.

Mocno dotknięty tem wszystkiem starałem się naprzód upewnić czy tak jest w istocie, ponieważ widząc rozdrażnienie matki mojéj, miałem nadzieję że zaszło tu jakie nieporozumienie. Lecz stryj dał mi natychmiast wszelkie wyjaśnienia, i przekonał mię aż nadto dokładnie, że niepodobna było łudzić się dłużéj.

Opowiedział mi, że gdy ze swoją truppą dawał przedstawienia w Heidelbergu, przybył tam pewien Amerykanin, pan Thornton i starał się zrobić z nim znajomość. Amerykanin z wielką troskliwością wywiadywał się o stosunki familijne Wallmuthów. Stryj domyślił się zaraz że tu idzie o rzecz wielkiéj wagi, był więc coraz ostrożniejszym i coraz bardziéj skrytym, podczas gdy tamten, aby dojść do celu, wywnętrzał się coraz otwarciéj. Szło tu o barona Wallmutha, który pewien czas mieszkał w Ameryce, i ożenił się z córką pana Steinlach, którą po półtora roku z dzieckiem opuścił zostawiając ją w nędzy, ponieważ ojciec wyrzekł się jéj właśnie z powodu tego małżeństwa. Stryj twierdził że ze wstydu nie przyznał się Amerykanowi iż winny jest jego bratem. Później jednak, rozważywszy rzecz dokładnie, zaczął wywiadywać się o wszystkie szczegóły i przekonał się, że drugie małżeństwo mego ojca zawarte zostało jeszcze za życia pierwszéj żony, że nawet ta żyła jeszcze, gdy ja i Feliks ujrzeliśmy światło dzienne. Okoliczność ta wskazała mu co daléj czynić należy. Wiedział że żona opuszczona zgasła w St. Louis ze zgryzoty, i że biedne dziecko, które chciała wysłać do swego ojca, obecnie w Niemczech zamieszkałego umarło na cholerę w Londynie, nim je dziadek mógł do swego serca przycisnąć. Wszyscy więc, co mieli prawo do majątku i nazwiska, spoczywali w grobach, a my jako dzieci nieślubne żadnych praw mieć niemogliśmy, stryj więc postanowił z krzywdą naszego honoru, upomnieć się o utracony spadek po moim ojcu. Sam mi to wyznał, nie wstyd, broń Boże, egoizm spowodował go do skłamania, że oprócz niego nie masz w Niemczech innego barona Wallmutha, że oszust, który w Ameryce podszył się pod to nazwisko, nie należał do starożytnéj, czcigodnéj rodziny.

Obcy poprzestał na tem, bo też dawna jego znajoma, pierwsza baronowa Wallmuth i jéj dziecko już nie żyli, winny zatem, chociaż byłby się znalazł, nie mógł już naprawić swojéj zbrodni.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH

PRZEZ

Aleksandra Dumasa (ojca)

(Dalszy ciąg.)

Nazajutrz o naznaczonéj godzinie, debiutantka wystrojona przepysznie, z nutami w ręku w towarzystwie nieśmiertelnéj matki, tak dobrze znanéj, zameldowała się w pałacu Barbaja. Dyrektor orkiestry siedział już przy fortepianie, a Barbaja przechadzał się po salonie szerokiemi krokami.

— Panie impressario — odzywa się stara oddawszy głęboki pokłon — jestto świętym obowiązkiem matki uprzedzić pana, że biedne to dziecko czyste jak kryształ a bojaźliwe jak gołąbka.

— Źle zaczynamy — przerywa jéj Barbaja — w teatrze trzeba być efrontką.

— Nie chcę ja wcale narzucać... chciała daléj mówić słodziutkim głosem, ale impressario obrócił się nagle do panny i rzekł do niéj dosyć niecierpliwie i brutalnie.

— Zobaczmy! cóż mi zaśpiewasz?

— Panie! — wyjąkała młoda debiutantka, zaczerwieniwszy się aż po uszy — śpiewam modlitwy z Normy...

— Jak to nieszczęśliwa! — krzyknął Barbaja grzmiącym głosem. Po sławnéj Ronzi ośmieliłabyś się śpiewać modlitwę z Normy.

— Jeżeli pan wolisz to zaśpiewam kawatinę z Cyrulika.

— Kawatinę z Cyrulika po Fodarze?

— To romans o wierzbie.

— Romans o wierzbie po Malibran? Co za profanacja!

— To nic mi innego nie pozostaje tylko solfedżia — wyrzekła panienka na pół z płaczem.

— Wybornie! przystaję na solfedżia!

Biedaczka otarła łzy, dyrektor i matka dodają jéj odwagi i wykonała doskonale solfedżia. Fizjonomia Barbai rozjaśniła się, czoło się wypogodziło, uśmiech zadowolenia pokazał się na ustach.

— I cóż pan myśli o śpiewie mojéj córki? odezwała się matka cała drżąca.

— Głos nie jest zły, ale niech mię djabli porwą jeżeli choć jedno słowo zrozumiałem.

Drugim razem, w zimie powtarzano nową operę, a śpiewacy, mający pierwsze role, zanurzeni w swoich edredonach, zawsze się spóźniali na próbę. Rozgniewany Barbajo przysiągł głośno, że skaże na karę pieniężną każdego kto się nie stawi na oznaczoną godzinę, chociażby nawet pierwszy tenor i pierwszy sopran. I rzeczywiście karze téj ulegli nie raz sam Rubini i Pasta!

To nie przeszkadzało wcale Dominikowi Barbai do wydania na świat, Lablache'a, Tamburini'ego, Rubini'ego — Calbrony, Pasty, Fodary — Donizette-go, Bellini'ego i Rossini'ego — tak jest nawet Rossini'ego.

Największe arcydzieła muzyczne były napisane dla Barbai. Bóg jeden wie, ile to próźb, gwałtu i podstępu kosztowało biednego impressaria, żeby zmusić do pracy genjusz najkapryśniejszy, o nic nie dbający a tak szczęśliwy pomiędzy wszystkimi kompozytorami.

Opowiem wam fakt, który doskonale charakteryzuje impressaria i kompozytora.

V.

Otello.

Rossini przybył do Neapolu, poprzedzony już ogromną sławą. Pierwszą osobą, którą spotkał wysiadając z powozu, był jak łatwo domyślicie, impressario teatru św. Karola. Barbaja przybiegł do wielkiego maestro z otwartemi rękami i otwartem sercem. Nie dawszy mu ani kroku stąpić ani słowa wyrzec, rzekł:

— Przychodzę ofiarować ci trzy rzeczy, i spodziewam się że żadnéj z nich nie odrzucisz.

— Słucham! odrzekł Rossini ze swym znanym powszechnie, przebiegłym uśmiechem.

— Oddaję mój pałac dla ciebie i dla twoich ludzi.

— Przyjmuję.

— Oddaję mój stół dla ciebie i dla twoich przyjaciół.

— Przyjmuję i to.

— Chcę abyś napisał jaką operę dla mnie i dla mojego teatru.

— Nie przyjmuję.

— Jak to, nie chcesz pracować dla mnie?

— Ani dla ciebie, ani dla nikogo. Nie chcę już zajmować się muzyką.

— Jesteś warjatem mój drogi!

— A jednak tak będzie, jak miałem zaszczyt powiedzieć ci.

— A co będziesz robił w Neapolu?

— Będę jadł makaroni i lody. To moja passja!

— Każę ci przyrządzać lody mojemu kucharzowi, najsławniejszemu w Toledo, a makaroni będę dla ciebie sam robił. Zobaczysz że będziesz po nim palce oblizywał.

— A do djabła! to ważna rzecz!

— Ale w zamian napiszesz mi operę.

— Zobaczymy.

— Za miesiąc, za dwa, za sześć miesięcy, jak chcesz!

— Niech będzie za sześć miesięcy.

— Rzecz ułożona.

— Chodźmy na kolację.

Od tego czasu Rossini mieszkał w pałacu Barbai. Właściciel zupełnie zniknął, a sławny maestro mógł się uważać jakby był u siebie w najściślejszem znaczeniu tego słowa. Wszyscy przyjaciele a nawet nowe znajomości zasiadali przy stole Barbai, a Rosini robił honory z ujmującą swobodą i liczba zaproszonych dochodziła często do piętnastu osób.

Co się tyczy Barbai, wierny swojéj roli kucharza, wynajdywał codzień jaką nową potrawę, wydobywał ze swojéj piwnicy najstarsze wina i fetował wszystkich, których zapraszał Rossini. Ale na końcu uczty, z niesłychaną przebiegłością z uśmiechem na ustach, potrafił zawsze przy deserze wtrącić jakie słówko o przyrzeczonéj operze i wielkiem jéj powodzeniu.

Mimo wszystkiéj wykrętnéj wymowy, za pomocą któréj chciał przypomnieć swojemu gościowi zaciągniony dług, słowa jego tyle wpływu wywierały na Rossiniego, co owe trzy wyrazy na uczcie Baltazara. Dla tego to Rossini, znudzony temi przymówkami poprosił Barbaję, żeby zaraz po deserze wynosił się z pokoju.

Tymczasem miesiące upływały, libretto było już oddawna gotowe, a Rosini ani myślał wziąść się do dzieła. Za obiadami przyszły przechadzki, za przechadzkami wycieczki na wieś. Polowanie, łowienie ryb, przejażdżki konno zajmowały ciągle kompozytora, ale o operze ani słychu. Dwadzieścia cztery razy na dzień Barbaja wpadał w straszny gniew, w nerwowe kurcze: brała go chętka wybuchnąć, ale się wstrzymywał bo wierzył w geniusz Rossiniego.

Milczał więc przez pięć miesięcy z rezygnacją męczennika. Ale zaraz pierwszego dnia szóstego miesiąca, widząc że nie można tracić czasu ani oszczędzać mistrza, wziął go na stronę i rozpoczął z nim następującą rozmowę:

— Czy wiesz, mój drogi, że do naznaczonego terminu, brakuje tylko dwadzieścia dziewięć dni.

— Do jakiego terminu? zawołał Rossini z takiem zadziwieniem, jakby kto obcy do niego przemawiał którego wcale nie znał.

— Trzydziestego Maja!

— Trzydziestego Maja?

— Czyż nie przyrzekłeś mi nowéj opery, którą mam wystawić trzydziestego Maja?

— Co! ja przyrzekłem ci operę?

— Nie udawaj zadziwionego! zawołał impressario, tracąc cierpliwość. Czekałem cierpliwie terminu rachując na twój geniusz i łatwość w pracy, którą cię Bóg obdarzył. Nie mogę już dłużéj czekać trzeba mi koniecznie nowéj opery.

— A czyby nie można tak rzeczy ułożyć, żeby przerobić trochę jaką dawną operę i dać jéj inny tytuł?

— Co też ty gadasz! A artyści zaangażowani naumyślnie do nowéj opery?

— Skarzesz ich na karę pieniężną.

— A publiczność?

— Zamkniesz teatr.

— A król?

— Podasz się do dymissji.

— Wszysto to jest prawdą do pewnego punktu!.. ale jeżeli ani artyści, ani publiczność, ani król nie potrafią zmusić mię do dotrzymania mojéj obietnicy, to mi jeszcze pozostaje i cięży na mnie dane słowo, a Dominik Barbaja nigdy nie złamał danego słowa.

— To co innego!

— A zatem przyrzekasz mi że jutro zaraz zaczniesz pracować?

— Jutro? Niepodobna! Ułożyliśmy ładne polowanie w Fusaro.

— Dobrze! — rzekł Barbaja pakując ręce do kieszeni. Namyślę się co mam zrobić.

I oddalił się nie wyrzekłszy więcéj ani słowa.

Wieczorem Rossini zjadł kolację z wielkim apetytem zapomniawszy zupełnie o małem nieporozumieniu z Barbają, i położył się spać, szczęśliwy jak król. Słońce ranne padło mu na twarz, zerwał się na łóżku, przetarł sobie oczy i zadzwonił. Sznurek od dzwonka urwał mu się w ręku. Zaczął wołać oknem: wychodzącem na podwórze. Cały pałac oniemiał, wymarł. Chwycił za drzwi, drzwi były z zewnątrz zamknięte.

Wtedy wróciwszy do okna zaczął wołać: na pomoc, gwałtu, rozbój! Ani nawet echo nic mu na to nie odpowiedziało. Pozostał mu jedyny tylko środek: skoczyć z trzeciego piętra, ale trzeba oddać Rossini'emu tę sprawiedliwość, że mu ta myśl nie postała wcale w głowie.

Po upływie godziny w jednem z okiem pokazała się głowa Barbai, przystrojona w białą perkalową czapkę, jak przystało na kucharza. Rossini miał wielką ochotę rozbić mu ją, ale widząc że toby do niczego nie doprowadziło, przycichł:

— Czy ci czego potrzeba? zapytał się Barbaja zdradziecko.

— Chcę wyjść natychmiast.

— Wyjdziesz, kiedy skończysz moją operę.

— Ależ to gwałt przeciw wolności osobistéj.

— Może i gwałt! ale ja potrzebuję opery.

— Oskarżę cię przed wszystkiemi artystami — a zobaczymy!

— Skarzę ich na karę pieniężną.

— Zawiadomię o tem publiczność.

— Zamknę teatr.

— Pójdę aż do króla.

— Podam się do dymissji.

Rossini domyślił się że się złapał we własne sidła. To też jako człowiek wyższy rozumem zmienił natychmiast ton i obejście się, i odezwał się spokojnie i poważnie.

— Przyjmuję ten żart i nie gniewam się. Ale czyż mogę wiedzieć, kiedy będę wolnym?

— Kiedy ostatnia scena opery będzie w moich rękach — odpowiedział Barbaja zdejmując czapkę.

— Dobrze! przyślij dziś wieczór po uwerturę.

Wieczorem doręczono Barbai spory kajet nót, na którym wielkiemi literami było napisano: *Uwertura Otella.*

Salon, w którym Barbaja, odebrał pierwszy transport od swojego więźnia, napełniony był muzykalnemi znakomitościami. Zaczęto probować na fortepianie i przekonano się że Rossini to nie człowiek, bo stwarza samem chceniem, bez pracy i mozołu. Barbaja, nie posiadając się z radości, wyrwał uwerturę z rąk wielbicieli i posłał ją do skopjowania. Nazajutrz odebrał drugi kajet z napisem: *Pierwszy akt Otella.* Posłano go do kopisty który na naznaczoną minutę wykończył robotę, przyzwyczajony przez Barbaję do ślepego posłuszeństwa. W przeciągu trzech dni cała particia Otella była skończoną i skopjowaną.

Impressario nie posiadał się z radości. Rzucił się na szyję Rossini'emu i w najczulszych wyrazach przepraszał go za podstęp, którego użył żeby dostać operę.

— Drogi maestro! dokończ całego dzieła i bądź ciągle obecnym na próbach.

— Sam będę chodził do artystów — odpowiedział z niechcenia Rossini — i wyuczę ich ról. Co do orkiestry, będę miał honor przyjąć ją u siebie.

— A zatem porozumiéj się z nimi, jak chcesz. Ja tu już zupełnie nie potrzebny, zobaczymy się na jeneralnéj próbie. Ale przebacz mi figla!

— Ani słowa o tem, bo się rozgniewam.

— A zatem aż do jeneralnéj próby?

— Aż do jeneralnéj próby.

Nadszedł nareszcie dzień jeneralnéj próby. Była to wigilja owego 30 Maja, który tyle udręczeń sprawił Barbai. Śpiewacy byli na swoich miejscach, orkiestra także. Rossini usiadł do fortepianu, kilka dam eleganckich i kilku mężczyzn uprzywilejowanych zajmowali loże przy scenie. Barbaja rozradowany zacierał sobie ręce i pogwizdywał chodząc po scenie. Odegrano naprzód uwerturę. Huczne oklaski rozległy się pod sklepieniami teatru św. Karola. Rossini wstał i ukłonił się.

— Brawo! wołał Barbaja. Przejdźmy teraz do kawatiny tenora.

Rossini usiadł znowu do fortepianu. Wszyscy zaparli oddech w piersiach.

Dyrektor orkiestry podniósł laskę a orkiestra zaczęła grać... uwerturę.

Znowu oklaski, jeszcze huczniejsze. Rossini wstał i ukłonił się.

— Brawo, brawo! krzyczał Barbaja. Teraz kawatina.

Orkiestra zaczęła grać trzeci raz uwerturę.

— Ależ na miłość boską zawołał Barbaja zmitrężony. Nie możemy przecie grać do jutra saméj uwertury. Daléj! kawatina!

Ale mimo wezwania impressaria, orkiestra grała ciągle uwerturę. Barbaja skoczył do dyrektora, uchwycił go za rękę i wrzasnął mu do ucha.

— Do kroćset diabłów! dla czego grasz od godziny jedno i to samo?

— Ba! — odpowiedział dyrektor z flegmą, któréj by się nawet Niemiec nie powstydził — gramy to, co jest napisane.

— Ależ niedołęgo, przewróć kartkę.

— Przewracam ciągle, ale nigdzie nie ma nic tylko uwertura.

— Jak to, tylko uwertura? zawołał impressario blednąc — ależ to piekielna mistyfikacja!

Rossini wstał i ukłonił się. Barbaja upadł bez sił na krzesło.

Prima donna, tenor wszyscy zbiegli się około niego, bo myśleli że go uderzyła pioronująca apopleksja. Rossini widząc że żart staje się tragicznym, zbliżył się także widocznie zaniepokojony. Zobaczywszy go Barbaja podskoczył jak pantera i zaczął wyć w najpiękniejsze.

— Oddal się, zdrajco, bo nie odpowiadam za siebie!

— No, no! mój kochany, może się znajdzie na to jaki środek.

— Jaki środek, zbóju! Jutro ma być pierwsze przedstawienie.

— Gdyby naprzykład prima donna zachorowała nagle? — szepnął mu do ucha Rossini.

— Niepodobna! odpowiedział Barbaja także po cichu — nie będzie chciała wziąść na siebie gniewu i cytryn publiczności.

— Gdybyś ją poprosił?

— To napróżno! Nie znasz Colbrony.

— Myślałem że jesteście bardzo dobrze z sobą.

— Właśnie dla tego.

— Czy pozwolisz mi spróbować?

— Rób co chcesz, ale ostrzegam cię że to stracony darmo czas.

— Może i nie!

Nazajutrz na afiszach czytano, że pierwsze przedstawienie Otella zostało odłożonem z powodu nagłéj słabości prima donny.

We dwa tygodnie potem grano Otella. Cały świat zna już tę operę — nie mamy nic więcéj do powiedzenia. Dwa tygodnie wystarczyły Rossiniemu na to, żeby ludzie nie zapomnieli arcydzieła Szekspira.

Po spuszczeniu kortyny, Barbaja do łez rozczulony powodzeniem, szukał wszędzie mistrza żeby go do serca przycisnąć, ale Rossini z ową skromnością wrodzoną wielkim ludziom, ukrył się przed owacją tłumu.

Nazajutrz Barbaja kazał przywołać do siebie swojego suflera, który był zarazem jego kamerdynerem. Sufler przyszedł.

— Idź proś Rossini'ego, żeby był łaskaw przyjść do mnie.

— Rossini odjechał — odpowiedział sufler.

— Jak to, odjechał?

— Odjechał bardzo rano do Bolonji.

— I nic mi nie kazał powiedzieć?

— Owszem, kazał się panu kłaniać.

— No, to idź proś Colbronę, żeby mi pozwoliła odwiedzić się.

— Colbronę?

— No! Colbronę! czyś głuchy dzisiaj?

— Przepraszam pana!... ale Colbrona także odjechała.

— Co ty pleciesz?

— Pojechali w tym samym powozie.

— A zdrajczyni opuściła mię żeby zostać kochanką Rossini'ego!

— Przepraszam pana została jego żoną.

— No, to jestem pomszczony! rzekł Barbaja.

IV.

Forcella.

Jak Chiaja jest ulicą arystokracji i cudzoziemców, jak Toledo jest ulicą sklepów i flanerów, tak samo Forcella jest ulicą prawników, procesujących się i adwokatów.

Ulica ta podobna jest, do galerji w pałacu Sprawiedliwości nazywającéj się: *Pas-perdus* (nie słychać kroków) tylko włoscy pieniacze są zawzięci a adwokaci straszne gaduły. Dla tego to każdy proces w Neapolu trwa trzy razy dłużéj niż w Paryżu.

Kiedyśmy weszli na tę ulicę był na niéj wielki ścisk. Musieliśmy wysiąść z karrikola i iść daléj piechotą. Wydostawszy się z tłumu zapytaliśmy co znaczy to zbiegowisko? Odpowiedziano nam, że dziś sądzą sprawę między bractwem śmiertelnych pielgrzymów i Filipem Villani.

— A o co idzie proces?

— Oto Filip Villani, kazał się pochować kosztem bractwa i pozwany jest przed sąd, żeby dowiódł prawnie że umarł.

Widzicie sami że proces był dosyć ciekawy i oryginalny, to też zbiegło się na Forcellę mnóstwo ludzi.

— Franciszku! powiedz no nam, co to za jeden ten Filip Villani.

— Widzicie go panowie! — odpowiedział pokazując nam jakieś indiwiduum, które szybko około nas przebiegło.

— Ten sam, którego pochowano ośm dni temu?

— Ten sam.

— Ależ to niepodobna!

— Musiał zmartwychwstać.

— A więc to czarownik?

— Synowiec Kagliostra.

Rzeczywiście dzięki temu kuzynostwu, i kilku zgrabnym figlom, zarobił sobie w Neapolu na pewnego rodzaju rozgłos i uchodził za czarownika. Ale czarownikiem nie był, był tylko typem. Don Filippo Villani był neapolitańskim Robertem. Ale przemysłowiec neapolitański miał ogromną wyższość nad przemysłowcem francuzkim. Robert był figurą zmyśloną, mytem filozoficznym a Villani był osobą z ciała i z kości, był ekscentrycznością dotykalną.

Don Filip Villani ma około czterdziestu lat, włosy czarne, oczy błyszczące, ruchy zwinne, głos krający. Uczył się wiele i umie wszystkiego po trochu. Trochę prawa, trochę medycyny, trochę chemji, trochę matematyki, trochę astronomii i trochę muzyki. Porównawszy się z otaczającą go społecznością i znalazłszy się od niéj daleko wyższym, postanowił żyć jéj kosztem. Miał dopiero dwadzieścia lat kiedy mu ojciec umarł. Zostawił mu właśnie tyle pieniędzy ile potrzeba na zrobienie długów. Przezorny niezmiernie, pożyczał już wprzód, zanim był zrujnowany. Tym sposobem pierwsze swoje weksle zapłacił jak najrzetelniéj i kredyt miał ogromny.

Ale wszystko na tym świecie ma swój koniec. Nadszedł dzień, w którym Don Filipa nie zastano w domu, chociaż to był dzień zapłaty. Wierzycie1

przyszedł nazajutrz. Don Filip już wyszedł. Przyszedł wieczorem. Don Filip jeszcze nie wrócił. Weksel zaprotestowano, odtąd Don Filip zmuszony był przejść od bankierów do agentów bankowych i zamiast sześć płacić 20 od sta.

W ciągu czterech lat Don Filip zużył agentów bankowych tak samo jak bankierów. Od agentów bankowych przeszedł do lichwiarzy. Przejście to odbyło się spokojnie, tylko zamiast 20 trzeba było płacić 50 od sta.

Ale to nic a nic nie obchodziło Don Filipa, bo postanowił sobie wcale już nie płacić. Owóż pewnego dnia, Don Filip potrzebował bardzo tysiąca talarów. Z wielkim trudem wyszukał sobie żydka, który przyrzekł pożyczyć mu pieniędzy rachując 150%. Musiał użyć do tego wszystkich sposobów wynalazczych, jakiemi obdarzyła go natura. Nareszcie przyszedł potomek Izaaka i Jakóba i przyniósł gotowy już weksel — napisany na 9,000 talarów, a wyliczył Don Filipowi tylko 3,000. Nie było co mówić — taki był układ.

Don Filip wziął weksel, rzucił nań okiem, wyciągnął obojętnie rękę po pióro, udał że je macza w atramencie, podpisał się na wekslu, posypał atrament niebieskim piaskiem i oddał żydowi weksel, który go starannie włożył do pugilaresu, obejrzawszy wprzódy i widząc wielki, czytelny podpis. Kiwał głową z zadowolenia i ukłoniwszy się grzecznie, wyszedł, myśląc już o terminie.

Kiedy już trzy miesiące upłynęło, żyd stawił się u Don Filipa. Przeciw swojemu zwyczajowi w takich razach, Don Filip był w domu wbrew oczekiwaniu żyda, przyjął go ukłoniwszy się nisko mówiąc:

— Zapewne nie zapomniałeś pan, że dziś termin zapłacenia wekslu.

— Nie zapomniałem, mój drogi Feliksie! tak się zwał pożyczający.

— W takim razie mam nadzieję, żeś się pan przygotował na to.

— Ani chwili nie myślałem o tem.

— A zatem będę zmuszony pozwać pana.

— Pozywaj.

— Wiesz dobrze że weksel nie zapłacony ściąga areszt osoby i kozę.

— Wiem.

— Żebyś się nie wymawiał niewiadomością, uprzedzam pana, że prosto ztąd idę do Trybunału Handlowego.

— Idź!

Żyd mrucząc, odszedł. W parę godzin Don Filip otrzymał pozew. W naznaczonym terminie stawił się w Trybunale. Żyd wytoczył przed kratki swoje żądania.

— Czy przyznajesz pan ten dług? — zapytał się sędzia.

— Nie tylko nie przyznaję go, ale nawet nie rozumiem czego ten pan chce ode mnie.

— Przedstaw weksel! rzekł sędzia do żyda.

Żyd wydobył z pugilaresu weksel i podał go sędziemu, starannie złożony.

(d. c. n.)

PIERWSZA I OSTATNIA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

— Właśnie szczęścia jedynie dla pana pragnie.....

— I taki zadaje mi cios?!

— Przyszła do przekonania, że was wiek jéj dzieli....

— Nie chcę i słuchać tego! zawołał Zbisław.

— Winieneś posłuchać, bo w jéj imieniu przemawiam i w imieniu rozsądku. Przez lat parę może bylibyście szczęśliwi z sobą.... ale, pan jesteś młodzieńcem w kwiecie wieku, gdy ona.... już przekwitła. Byłaby nieskończenie nieszczęśliwą!

— Ona? nieszczęśliwą! — zawołał do głębi duszy dotknięty.

— Bo kochając pana, widziałaby z dniem każdym więcéj rażącą różnicę wieku. To co nastąpiło, nazywa ona nierozwagą ... i szałem chwilowym. Ale przejrzała jeszcze zawczasu, i zwraca panu słowo: jesteś wolnym.

— Ależ to być nie może! Ona słowa nie złamie, nie zdepcze wiary mojéj!

— Będzie panu zawsze przyjaciółką najtkliwszą! Będzie panu siostrą i w panu chce mieć brata i przyjaciela, od którego rady i pomocy może jeszcze zasięgnie kiedyś.

Zbisław miał łzy w oku — rzucił się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

— Panna Krystyna jest bez litości! zawołał głosem złamanym, nigdy niebyłbym myślał....

— Zaklina ona pana, byś był spokojnym, miał wzgląd na nią i jéj spokój oszczędzał! Zaklina i błaga a nikt wiedzieć niepowinien co było pomiędzy wami.... ażeby nie wyśmiano — wyszeptała z cicha.

— Któżby śmiał? zapytał Zbisław.

— Ludzie!... Bo ona utrzymuje, że miłość kobiety niemłodéj dla młodzieńca, ośmiesza ją. I ma słuszność, panie Zbisławie, ma wielką słuszność! Daj jéj przeto dowód czeski swojéj żeś ją kochał prawdziwie, znosząc cios ten nieunikniony z rezygnacją i spokojem.

— Chodźmy do niéj! porwał się i ujął rękę pani Kunowskiéj.

— Ona nie chce widzieć pana.

— Nie chce?!.. Och! ja błagam o to, jak o łaskę jedyną, ostatnią!... A potem, skoro już nie odmieni okrutnego wyroku...

— Nigdy! Bo jest aż nadto stałą w postanowieniach swoich, Już tego nie cofnie, nie odwoła nigdy! I dla tego nie zechce widzieć pana. Masz tutaj pospołu z drugiemi zabawić przez dzisiaj, by niczem i najmniejszego nie dawać pozoru.... którymby ją i cieniem jedynym mógł skompromitować. O miéj wzgląd dla niéj!

— Ale niechże ją widzę przynajmniéj.. pożegnam!.. Błagam! Idź droga szanowna pani do niéj, proś i zaklinaj! Zlituj się nade mną!

— Uczynię to dla pana, lecz wiem że naprożno.

— Idź pani i uczyń co możesz!

Pani Kunowska wyszła.

Zbisław przebiegł parę razy pokój blady i znękany. Potem stanął przy oknie i niby bezmyślnie patrzył się w ogród, a raczéj myśli jego błądziły obojętnie na piękne drzewa, trawniki i kwieciste klomby. Smętny wyraz przysłaniał mu lica, na źrenicy łza błysnęła.

W téj chwili biegła przez trawnik, a raczéj jak ptaszek fruwała, zgrabniuchna i wiotka postać Teresy. Biała, lekka opływała ją sukienka, a we włosach polne miała kwiatki. Unosiła parasolik różowy, drobną stopą szmaragdowe muskując trawy.

Zbisław patrzył się na to śliczne zjawienie. Skręciła w ulicę, mimowolnie przystąpił bliżéj i niby także mimowolnie wzrokiem cień biały sięgał, dopóki mu w cienistéj nie zniknęła ulicy. Wtedy odstąpił od okna, upadł na krzesło, załamał dłonie i głowę zwiesił na piersi.

Po chwili pani Kunowska wróciła smutna i prawie zapłakana.

— Cóż więc? zapytał się Zbisław — nie zechce mnie widzieć?

— Nie — odrzekła pani Kunowska, stanowczo nie chce, bo to dla was obojga jedynie li przyczyniłoby cierpienia... i zdradziłoby co na zawsze tajemnicą ma pozostać. Panna Krystyna odwołuje się do honoru pańskiego.

— I w imieniu *honoru* — zawołał muszę jéj być posłusznym? Więc odjadę zaraz.

— Nie, nie! Winieneś tutaj przez dziś pozostać, tego żąda wyraźnie. Bo inaczéj mogliby jakieś nieporozumienie przypuszczać... domyślać się czego ś...

— O czegóż ona wymaga! zawołał z żalem.

— Nie będzie to przecie ofiarą żadną. Panna Krystyna przez dwa dni w swoim zostanie pokoju. Pan jutro odjedziesz... Dzisiaj odbędzie się znowu podwieczorek w lesie, na który i kilka osób z sąsiedztwa zaproszonych zostało. Pani Łuniecka zastąpi gospodynię domu, ja zaś pozostanę przy pannie Krystynie.

— Ach to są tortury!

— Przeminą, a pan wywieziesz to przekonanie, żeś dopełnił czego wymagała i jak nakazywało uczucie honoru...

Posłyszano głosy w przedsieni i starsi panowie weszli do salonu. Powracali z pola i niebawem ożywiona gospodarcza zawiązała się rozmowa, która Zbisława z kłopotliwego uwolniła położenia.

Po chwili nadeszły panie później młodzież i wszyscy żałowali niezmiernie, że panna Krystyna jest cierpiącą.

— Ale ją przecie dziś zobaczymy? zagadał pan Ignacy do pani Kunowskiéj.

— Może wieczorem. Teraz spoczywa i do lasu pojechać nie może.

— Kazała mnie prosić, bym ją wyręczyła wtrąciła pani Łuniecka.

— Czy nie mogłabym pójść do niéj? zapytała pani Ignacowa.

— Kazała przeprosić, że nikogo nie przyjmie. Przykłada na twarz materacyki i potrzebuje spokoju. Kazała prosić, ażebyście państwo bynajmniéj nie zważali na jéj nieobecność, i bawili się wesoło. Mówiła, że to ją uleczy prędzéj.

— Poczciwa!

— Kochana!

— Nieoszacowana! po wtarzano wokoło.

— Droga, kochana, jedyna ciocieńka! dodała Tecia pokiwując główką, jakżeż mi żal, że jéj z nami nie będzie.

— Zagraj, zaśpiewaj, dzieweczko, pocałowała ją pani Kunowska, a gdy ją tony muzyki dolecą, będzie zadowoloną.

— Więc zagraj, ozwała się matka.

Teresa posłuszna do fortepianu pobiegła i zagrała jakąś nader melodyjną fantazję.

— O czem? zagadał pan Ignacy, kładąc rękę na ramieniu Zbisława, który z pochylonem na dłoń czołem, siedział zamyślony i blady.

Zapytany chmurne podniósł oblicze.

— I ja znać trochę zaziębiłem się wczoraj, odrzekł, bo mam ból głowy.

— Już to podobno wszyscy zarwaliśmy kataru, a dzisiaj jeszcze poprawimy sobie.

Po obie dzie wyruszyło towarzystwo do lasu. Zbisław silił się, by nie okazywać smutku i moralnego rozstroju. Później wdał się nawet nieco w ogólną pociągnąć wesołość, lubo że do gier nie należał żadnych. Późno wrócili do Palanic, a nazajutrz rychło bardzo wyjechał.

Pod wieczór dnia tegoż ukazała się panna Krystyna w salonie z podwiązaną twarzą z materacykiem, blada ale uśmiechnięta.

Żałowała, że pan Zbisław już odjechał, a panienki musiały jéj grać na fortepianie i ulubione śpiewać piosenki.

VII.

Zbisław do Antoniego.

Powróciłem wczoraj do domu, smutny, znękany, zrozpaczony niemal. Wszystko znikło dla mnie co mi tyle szczęścia dawało: panna Krystyna zwróciła mi słowo i cofnęła swoje... Trwożyła ją myśl, że starszą jest ode mnie. Ofiarowała mi w zamian przyjaźń dozgonną i przywiązanie siostry. Pani Kunowska była pośredniczką, jéj nie widziałem już wcale.

Czy to się stało nagle, czyli też po długiéj walce? Nie wiem. Anielski spokój i anielska słodycz cechowały ją zawsze.

Drugiéj takiéj nie masz kobiety! Kochała mnie, kocha jeszcze jestem z tego dumny, bo drugiéj takiéj niewieściéj nie masz doskonałości.

Nie mam do niéj żalu i czczę ją ponad wszystko

Odwiedź mnie!

Zbisław.

Antoni pospieszył niezwłocznie na to wezwanie. Zastał przyjaciela siedzącego w ogrodzie pod klonem. Przed nim leżała porzucona gazeta, a na ziemi nieco tylko upalone cygaro.

Zbisław był blady i miał wyraz głębokiego smutku. Uścisnęli się serdecznie.

Antoni wiedział, że poufne zwierzania się o tem co boli, ulgę przynoszą, więc też zaraz o pannie Krystynie mówić począł. Zbisław powtórzył mu całą rozmowę z panią Kunowską, poczem Antoni zawołał:

— Tak nakazywał rozsądek, wierzaj mi, Zbisiu! I odtąd większą jeszcze mam cześć dla panny Krystyny. Nie mówiłem ci nic, nie śmiałem żadnéj zrobić uwagi, ale ta różnica wieku dawała mi obawę o trwałość waszego szczęścia.

Po długiéj chwili, opowiedziawszy niemal szczegół każdy, odezwał się Zbisław:

— Poznałem także znajomych tobie państwa Łunieckich na tych imieninach.

— I śliczną Tecię.

— Tak jest.

— I wybrała ciebie w mazurze? uśmiechnął się Antoni dobrodusznie.

— Wybrała, odrzekł Zbisław z zapłonieniem.

— Był to naiwny żarcik panienki. Aniołek bo prawdziwy. Niezrównanéj dobroci i wdzięku istota. Wychowana starannie bardzo a skromnie, bo rodzice nader poczciwi i zacni są ludzie.

Potem Antoni znowu o czemś innem mówić począł by przyjaciela rozerwać.

Zbisław nawet i w obec siostry, zupełne co do stosunku swojego z panną Krystyną milczenie zachował. Wybadywała go i wprost zapytywała, lecz jéj odpowiadał zawsze:

— Uwielbiam ją, ubóstwiam, Jest-to najszlachetniejsza i najpiękniejsza kobieta jaką kiedykolwiek spotkałem, ale za mąż już nie pójdzie.

Pani Leokadja pokręciła głową, stłumiła westchnienie i była przekonaną, że braciszek harbuza dostał, czemu jednakże dziwiła się bardzo.

Panna Krystyna po wyjeździe gości, zajęła się z podwójną gorliwością szkółką wiejską i upiększeniem ogrodu, szukając we wszystkiem pożytecznego zajęcia i rozrywki. Urozmaicała sobie zatrudnienie domowe i czytywały głośno z panią Kunowską. Zwalczyła siłą moralną ból, który sobie zadała sama, tak że po niejakim czasie dawniejszy odzyskała spokój i pogodę. Ta miłość *ostatnia* miłem pozostała jéj wspomnieniem, bo jéj zapewniła przyjaźń i szacunek a jeszcze i we własnéj duszy uznanie dla saméj siebie. Z początku rzadko tylko o Zbisławie mówiły, ale potem często i coraz częściéj, bo panna Krystyna mówić o nim lubiła.

Zawiązała z nim korespondencję w celu jakiejś dobroczynnéj składki, i odtąd raz po raz przyjazne z sobą zamieniali listy.

Po kilku miesiącach nakoniec odwiedził Zbisław Palanice. Powitali się jako dawni przyjaciele.... bez bladości na licu a z uśmiechem na ustach. Zdawało się nawet, że i bez wzruszenia. Znać oboje dawny odzyskali spokój.

Zbisław tę *pierwszą* miłość przetrawił i łatwo przemienił ją w cześć, uwielbienie i przyjaźń, tak samo, jak Krystyna swoją *ostatnią* zwyciężyła, niosąc mu teraz przywiązanie siostry.

VIII.

Do państwa Łunieckich w Tulczewie przybyli państwo Zagrzewscy w odwiedziny.

Dzień sierpniowy był prześliczny. I gdy panie gawędziły sobie w pokoju, a panowie pod wystawą dworu przy buteleczce węgrzyna, o polityce i gospodarce prawili, dwie panienki: Teresa i Ludwika Zagrzewska, wziąwszy się pod ręce do ogrodu wyszły.

Dwór biały, długi, o ośmiu oknach, niewysoki, staroświecki, gontami kryty, stał nieco wyżéj; ogród ładny spuszczał się pochyło ku gęstéj olszynie, po za którą wyżéj znowu, było widać zwirówkę wysadzoną drzewami.

— Powiedz, powiedz Teciu, zagadała przyjaciołka, więc kochasz go bardzo?

— Kocham... kocham całą duszą, odszepnęła Terenia i zarumieniła się jak werbena, którą wpięła we włosy.

— Ale opowiedz mi wszystkie szczegóły, bo ja tak lubię powieści i romanse. Kiedyż go poznałaś?

— W lipcu rok minął, na imieninach cioci Krystyny w Palanicach...

— Aa!! — zawołała Ludwika znacząco, ale na to nie zważała Teresa.

— Leżał tam ze złamaną ręką, jak słyszałaś i chorował długo. Ztąd zaprzyjaźnili się z ciocią...

Na te imieniny, jak zwykle, wiele zebrało się osób i bawiliśmy się wybornie.

— A pan Zbisław już wtedy mile na ciebie spoglądał?

— Bynajmniéj! Był niedawno po chorobie, blady jeszcze, wycieńczony i taki poważny!

— Ale ci się podobał?

— Podobał się wszystkim.

— Był interesujący bardzo. Rozumiem! No, ale kiedyż się starania jego zaczęły?

— Byłyśmy tego lata, jak ci wiadomo, od połowy czerwca i przez lipiec z mamą w Szczawnicy. Przybyła tam i pani Dalewska siostra pana Zbisława, a potem i on za nią przyjechał...

— To jest romantycznie! Jakież więc było wasze spotkanie pierwsze?

— Zmięszałam się, wyznaję — bardzo... bardzo.. odrzekła dzieweczka spuszczając oczy.

— Zarumieniłaś się znać wtedy bardzo, zaśmiała się Ludwika, kiedyś teraz zapłonęła na samo wspomnienie téj chwili.

— Możem wtedy pobladła raczéj, z uśmiechem odrzekła panienka! Zobaczyłam go niespodziewanie a przypomniałam sobie zaraz, że kiedyś w Zapolnie, przeglądałyśmy album z fotografjami pana Antoniego Rolskiego....

— Ach wiem! Mówiła mi Marynia, żeś wyraziła się o panu Zbisławie: jaki to ładny chłopiec? Co pan Antoni, nadchodząc, posłyszał.

— Podobno...

— I Marynia na zapytanie, już mu tę pochwałę jego przyjaciela powtórzyć miała, gdy ty zagadałaś zręcznie, że go w mazurze wybierzesz przy pierwszem spotkaniu.

— Tak. A wiedziałam, że pan Antoni późniéj mówił mu o tem, i dla tegom się zmięszała spotkawszy go w Szczawnicy.

— A on, czy pokraśniał także?

— Nie patrzyłam na niego.

— Ale cóż daléj?

— Widywaliśmy się często, jak to zwyczajnie u wód. Pan Zbisław był z początku poważny jakiś ale rozruszał się potem...

— I co? Cóż daléj?

— Spotykaliśmy się po razy parę na dzień.... Dnia jednego mama na przechadzce zasłabła, przestraszyłam się tem okropnie, uklękłam przy niéj... i ani wiem co działo się ze mną. Po chwili mama przyszła do siebie, lecz była wysilona bardzo. Więc dobry pan Zbisław niemal zaniósł ją do domu. Szłam obok i podtrzymywałam jéj głowę. Płakałam, cicho płakałam, a on raz po raz spojrzał się na mnie, i z takiem współczuciem,.. Od dnia tego byliśmy więcéj jeszcze zbliżeni do siebie. Potem znowu zachorowała córeczka pani Dalewskiéj. Biedna matka zupełnie przytomność straciła, i z rozpaczy ani przystąpić do chorego nie mogła dziecka. Więc ja przez noc całą przy maleńkiéj zostałam i spełniałam rozkazy doktora. Żałowałam dzieciny serdecznie, ale nie będąc jéj matką ani siostrą pamiętałam o wszystkiem, byłam zawsze przytomną i we wszystkiem wyrozumiałą, gdy biedna pani Dalewska w drugim pokoju ręce załamywała i ani wiedziała co począć. Pan Zbisław był ze mną, także przytomny i ogledny na wszystko. Z rana gdy doktór znowu przyszedł, zastał maleńką w śnie spokojnym i wyrzekł: choroba przesila się, niebezpieczeństwo minęło, dziecię wyzdrowieje. Uradowana, szczęśliwa, porwałam się zaraz i do stroskanéj pobiegłam matki. Leżała na kanapie zmartwieniem wysilona. Upadłam przed nią na kolana i wyszeptałam bo mi głosu nie stało: niebezpieczeństwo mi-

nęło! Klarcia będzie zdrowa! Rzuciła mi się na szyję i płakałyśmy obiedwie. Gdym powstała zobaczyłam pana Zbisława stojącego we drzwiach. Udałam się znowu do chorej. Przyszedł za mną.... ujął moje ręce obiedwie... przycisnął je do ust... a miał łzy w oczach.

— Jakże to czule! I oświadczył się wtedy?

— Och nie!.... Tylko niby poznaliśmy się lepiéj. Klarcia przyszła do siebie. Pani Dalewska odjeżdżała, i pan Zbisław także. Przy pożegnaniu.........

— Cóż? Cóż przy pożegnaniu?

— Znowu mnie w obiedwie pocałował ręce... prosił o pamięć.... i czy pozwolę, by przypomniał się w Tulczewie.... Już nie wiem dobrze, i powtórzyć nie umiem....

— A serduszko ci biło, nieprawdaż?

— Bardzo.

— A potem było tęskno?

— Bardzo!

— Ale cóż daléj?

— W tydzień po powrocie naszym do domu, przybył pan Zbisław...

— I cóż?

— Oświadczył się.

— Ale jak? Jakże się oświadczył?

— Och! tego powtórzyć nie umiem!... Wiesz przecie już dosyć.

— Rodzice więc zezwolili chętnie i zamieniliście pierścionki?

— Przyjechała pani Dalewska....

— Z podziękowaniem?

— Tak. Napisaliśmy do cioci Krystyny, prosząc o jéj błogosławieństwo, na co odpowiedziała nam listem prześlicznym.

— A czy ty wiesz, że pan Zbisław kochał się w niéj szalenie i że pobrać się mieli?

— On? Teresa pobladła nagle. Co też ty gadasz?

— Daję ci słowo! Jak mamę kocham! Pani Dalewska sama o tem stryjence Stanisławowéj w wielkiéj mówiła tajemnicy, gdy pan Zbisław chorym był jeszcze w Palanicach. Kochali się, jak mamę kocham, tylko że to wielki jest sekret.

Teresa pobladła znowu i ścisnęło się jéj boleśnie serce, usiłowała być spokojną i obojętną.

— I cóż ty na to? przerwała przyjaciółka chwilowe milczenie.

— Nic nie wiem i o niczem nic nie słyszałam, a lada plotce nie wierzę.

— Ależ to nie plotka!

— Uważano to za gadaninę bezzasadną. Mówmy lepiéj o czem innem.

— Skoro nie wierzysz, co przecież najrzeczywistszą jest prawdą, skoro o tem słyszeć nie chcesz.... więc mówmy o wyprawie twojéj. Jakież sobie sprawisz suknie?

— Zostawiam woli mamy wszystko.

— Bardzo pięknie. Ale, jednakże.....

Nadbiegł pokojowczyk i poprosił je na herbatę. Teresa rada była temu wezwaniu. A czuła ciągle ból w sercu i dziwne odurzenie myśli.

Państwo Zagrzewscy późno odjechali. Biedna Terenia niemal noc całą bezsennie spędziła. „Zbisław kochał pannę Krystynę wtedy gdy go poznała, kochał ją szalenie i był kochany nawzajem!... Dla tego zapewne był tak poważnym, nie tańczył i mało do gier należał. Potem panna Krystyna zachorowała, on odjechał a widocznie był smutny. Wszyscy wszelako sądzili, że jest cierpiący.... Kochał ją szalenie!... A może kocha ją jeszcze!" — dziewczęciu różne, przeróżne nasuwały się myśli i domysły. „Kochał ją, a oddalić się musiał!... I *ona* cierpiała także!.... Ale cóż ich rozłączyło? Świat, czy złośliwość tylko ludzi!.... Któż to wie? Panna Krystyna niemłoda, on młody! Ale kochali się!" i zapłakała rzewnie sama nie wiedząc, czyli nad panną Krystyną czy nad Zbisławem, czy też nad sobą samą.

Dni następnych Terenia była smutna chociaż nieby uśmiechnięta, a na zapytanie troskliwéj matki odpowiadała, że jéj nic nie jest.

VIIII.

W dni cztery potem Zbisław był spodziewanym w Tulczewie.

Słońce zniżało się ku zachodowi. Teresa wyszła do ogrodu. O przedwieczornéj dobie zwykle narzeczony przyjeżdżał więc spoglądała ku żwirówce, a chociaż ciągle była zadumaną, ale się już znacznie uspokoiła.

Trzymała książkę w ręku ale nie czytała, bo myśli płynęły jak chmury po jasnym błękicie.

Nagle zaturkotało na żwirówce. Serce jéj zadrgnęło i podniosła oczy; wóz jakiś przejechał a za nim bryka furmańska.

Po chwili znowu lekki rozległ się turkot. Spojrzała i aż pobladła: chłopak siwą popędzał szkapinę a na wózku związane leżało cielę. Terenia odwróciła się chmurniejsza jeszcze.

Zawiodła się znowu razy parę więc postanowiła nie spojrzeć więcéj, i nie dać się już żadnym złudzić turkotem.

Usiadła pod akacją na wzgórku i czytać chciała koniecznie. Słońce już spuściło się całkiem. Dziewczęciu ciężko było na sercu, łzy zaległy jéj w piersi: Może nie przyjedzie!... Może już wcale nie przyjedzie... może *tam*.... — nie śmiała dokończyć. W téjże samej chwili żwir zaskrzypnął na chodniku i Zbisław stanął przed nią.

— A! — wybiegło z ust jéj. Dąsała się jeszcze alež o co?

— Dobry wieczór! wymówił młody wesoło, ujął jéj rączki, do ust przycisnął, a z oczów jego strzelił promień najwyższéj radości.

— Widziałem panią już z daleka przez lunetkę, kazałem więc stanąć, i przez olszynę przebiegłem, ażeby rychléj być przy tobie i znowu całował jéj rączki.

Panienka milczała, zadąsana ciągle.

— Ale cóż to jest? zapytał nagle, bo dostrzegł, że nie jest tak wesoła jak być powinno. Cóż się stało? Pani jesteś posępna.... cóż to znaczy? trzymał jéj ręce i patrzył się tak wymownie w jéj oczy. Przez miłość Boga, cóż to jest?

Teresie głosu nie stało do odpowiedzi.

— Na rany Boże! Bo mnie rozpacz ogarnia! Czyliż rodzice o co pogniewali się na mnie?

— Nie, o nie!

— Czy ty, najdroższa, gniewasz się na mnie?

— Mam żal....

— O co? Boże mój, o co? — pytał namiętnie.

— Pan mnie zawiodłeś...

— Ja! Jakto?

— Kochałeś pannę Krystynę!...

— Ah! wyrwało się z piersi młodego. Więc o to? Dzięki Bogu!

— Dzięki Bogu? zdziwiła się panna.

— Któż ci o tem powiedział?

— Przyjaciółka moja.

— Dzięki Bogu! powtarzam znowu, że teraz mogę o tém z tobą pomówić.

— Więc.... prawda?... — łzy zapełniły jéj oczy, i była bladziutka.

— Och Tereso, jedynie ukochana! Posłuchaj! Ujrzałem piękną gwiazdę, jasną dobroczynną i modliłem się do niéj. Potem piękną gwiazdę błyskotne, ożywcze, zaćmiło słońce. Pozostało mi jéj wspomnienie błogie, zbawienne... uroczyste — ale żyję przecudnem słońcem jedynie. Czciłem ją, uwielbiałem, kochałem, jako wzór cnoty niewieściéj, wyższości niezrównanéj... jakoby anioła opiekuńczego!... Ale potem, potem dopiero, jedyna moja, *prawdziwą*, młodą, czystą, poznałem miłość!

Terenia zakwitła i modre oczki zabłysły.

— Ta *pierwsza* miłość łacno przemieniła się w przyjaźń. Miłość wszelako moja dla ciebie, nie mogłaby w przyjaźń przemienić się nigdy.

— Dla czego? poszepnęła Teresa.

— Nie wiem, ale to czuję. Gdybyś mnie odepchnęła możebym znienawidził siebie... możebym tego nie przeżył...

— Och! — wzdrygnęła się panienka, ale powiedz czy ci panna Krystyna odmówiła?

— *Nie mogła* być moją, bo tak jéj kazał rozsądek. Bolałem... alem odzyskał spokój i zachowałem dla niéj cześć i przyjaźń dozgonną.

— Ta miłość dla niéj... może powrócić — wymówiła Teresa wpółcicho.

— Och nigdy! Miłość która przeminie, nie powraca już nigdy.

Panienka uśmiechnęła się wejrzeniem: słyszała już to nieraz i wierzyła.

— Ciężyło mi na sercu, bolało w duszy, mówił Zbisław daléj, bom pragnął wyznać przed tobą to przejście w mojem życiu. Czułem powinność tego, a nie wiedziałem jakby to uczynić.

— Nie śmiałeś — zawołała Teresa nagle ożywiona — nie śmiałeś tego uczynić przez względność i cześć dla panny Krystyny: lękałeś się tego wyznania, jakby *profanacji* dodała ciszéj.

Prawda! prawda! zawołał, i przycisnął do oczów swoich, do ust jéj dłonie dziewicze.

— Widzisz, żem odgadła! wymówiła rozjaśniona, błyszcząca, a to jest pięknie, podniośle, honorowo. I więcéj jeszcze kocham cię za to.

— Tereso! moja Tereso!

— Powstań, bo ktoś nadchodzi.

Zbisław usiadł obok, do głębi duszy wzruszony! Umilkli oboje.

Po chwili żwir zaskrzypiał bliżéj. Ukazała się zielona aksamitna czapeczka pana Łunieckiego, a potém i cała poważna postać.

— Ojciec kochany! zawołał Zbisław, biegnąc ku niemu.

— Jak się masz chłopcze? — i ojciec Teresy uścisnął całującego go w ramię.

Pan Łuniecki usiadł przy nich. Pogadali we troje, a potem wezwał ich na podwieczorek, bo zaczęło być chłodno.

Szesnastego października odbył się ślub Zbisława i Teresy uroczyście, a skromnie. Poczem nowozaślubieni nasamprzód pojechali do Palanic. Panna Krystyna uścisnęła ich i pobłogosławiła z całego serca. Podarowała Tereni przepyszną bransoletkę z pereł i djamentów, i uczciła młode małżeństwo obiadem, na który zaprosiła bliżéj mieszkającą rodzinę i sąsiedztwo.

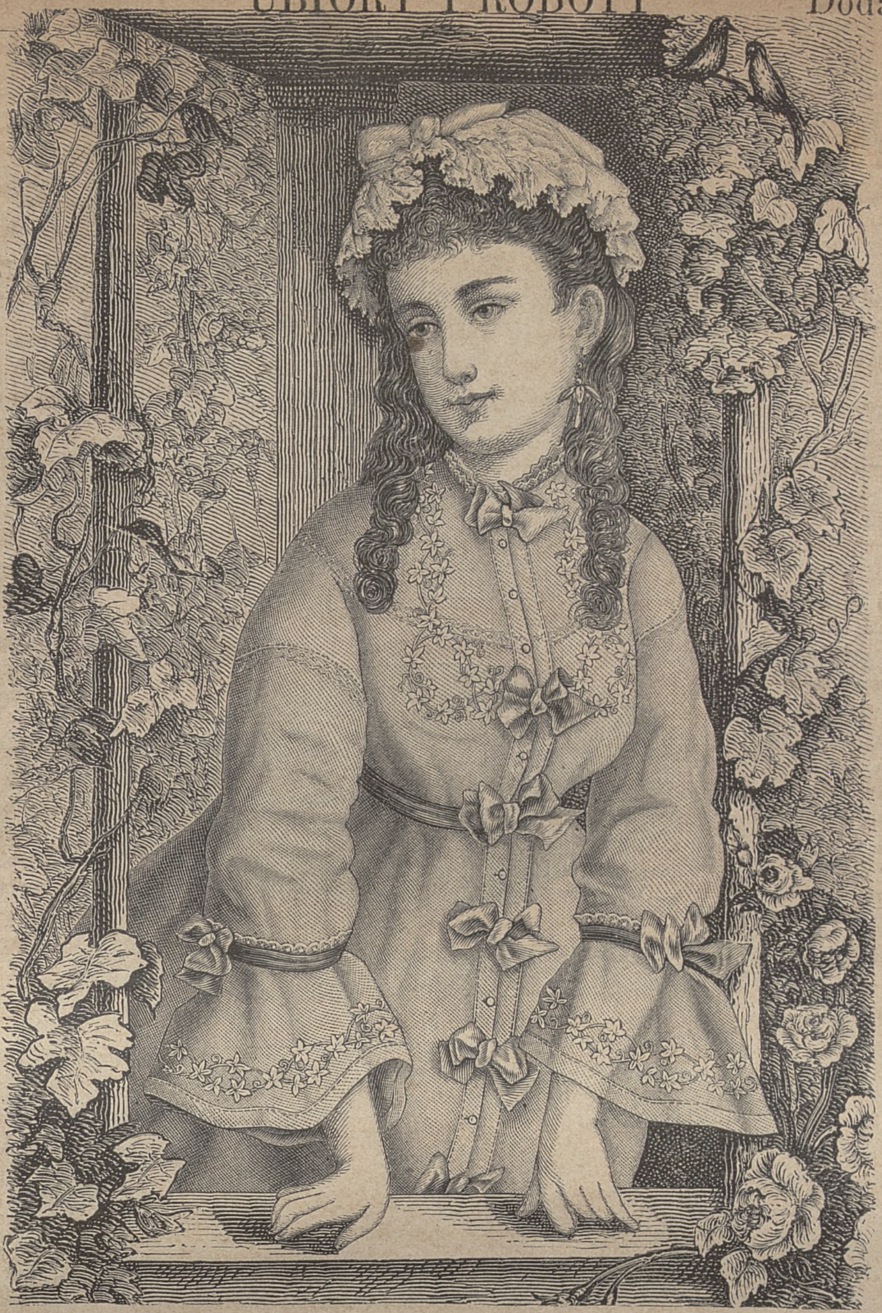
KONIEC.

Opis N. 39.

N. 1. Suknia haftowana na batyście. Za wzór do haftu sukni, posłuży wieniec podany w dodatku do N. 18 Tyg. Mód r. b. do wyhaftowania złotem na okładkach albumu. Jak widzimy na rysunku, układ liści na



N. 2. Kapelusz pamela wiązany z przodu.



N. 1. Suknia haftowana na batyście. Deseń w dodatku do N. 18 Tyg. Mód 1871 r.



N. 3. Czepek z denkiem i końcami puszczonemi.

staniku, odznacza duży szmizetkowy kołnierz. Nieprzebrane pole do rozwinięcia pomysłowości i gustu nastręcza spódnica, tu bowiem haft może odznaczać tiunikę długą, okrągłą, fartuszkową z boków podpinaną, albo z przodu otwartą. Można także dać u dołu szeroką falbanę, haftowaną w sposób rękawom odpowiedni. Haft może być atłaskowy lub płaski, a w takim razie gdy suknia się zniszczy, można go wyciąć i przenieść na co innego jako aplikacją. Komu idzie o pośpiech albo umniejszenie pracy, może dać pod deseń materjał podwójnie, odziergać kontury, odrobić żyłki i korzonki sznureczkiem, a następnie wyciąć starannie, zbywające części podłożenia.

N. 2. Kapelusz Pamela z przodu wiązany. Kapelusz słomkowy lub włosiany, potrzebuje obecnie odświeżenia, aby jeszcze wystarczył przez cały Paździrnik, podajemy więc taki przybrany czarną rypsową wstążką i koronką. Wkoło rondka objętego czarnym aksamitem dane upięcie z bufowanéj białéj iluzji. Woalik z tiulu koronkowego, 40 c. szeroki, a 60 c. długi, oszyty koronką, przypina się za jeden róg na główce i spada z tyłu w zręcznych fałdach.

N. 3. Czepeczek z denkiem okrągłem.

N. 4—5. Kostium i suknia powłóczysta z tiuniką i garnirunkiem z grenadiny. Dwa te odmienne ubrania mają zupełnie jednakowe tiuniki i garnirunki na stanikach. Przód tiuniki jest gładki u dołu zaokrąglony, dwa tylne bryty proste; boki jak widzimy nie zeszyte, tylko kokardami złączone. Podpięcie brytów tylnych ułożone w ten sposób, iż rogi zdają się być śpiczasto ścięte. Tak brzeg dolny jak i boki oszyte są gładko szeroką wstążką. Na rodzaj karoczka dodanego na tylnych brytach tiuniki, bierze się prosty kawałek mający 57 c. długości, a 38 c. szerokości i przecina go się na ukos; poczem strony proste podłużne obrócone do środka, łączy się naszyciem wstążki, strony poprzeczne układa w dwie duże kontrafałdy i przyszywa do paska, zaś brzegi skośne obrócone na zewnątrz, oszyte są wstążką.

N. 4. Kostium. Na spódnicy z ciemnego brązowego fularu naszyte trzy, w kontrafałdy ułożone i materją objęte falbanki z grenadiny. Takież węższe falbanki dane przy pelerynce. Kokarda z pięknej wstążki, koloru sukni, przyciska z tyłu pelerynkę.



N. 4. Kostium z tiuniką i garnirunkiem z grenadiny. N. 6. Suknia z tiuniką otwieraną z przodu. N. 5. Suknia powłóczysta z tiuniką i garnirunkiem z grenadiny.

N. 5. Suknia powłóczysta z chusteczką bluzkową. Na sukni jedwabnéj lila, chusteczka i tiunika jest z czarnéj grenadiny. Nad szerokim, zakończającym spódnicę wolantem, dodana jako nagłówek falbanka z grenadiny, środkiem przemarszczona i riuszą z materji przeszyta. Wązki rękaw od sukni ma koło ręki takiż sam garnirunek, przy zwierzchnim grenadinowym rękawie oszycie odpowiednie tiunice.

N. 6. Suknia z tiuniką otwieraną z przodu.

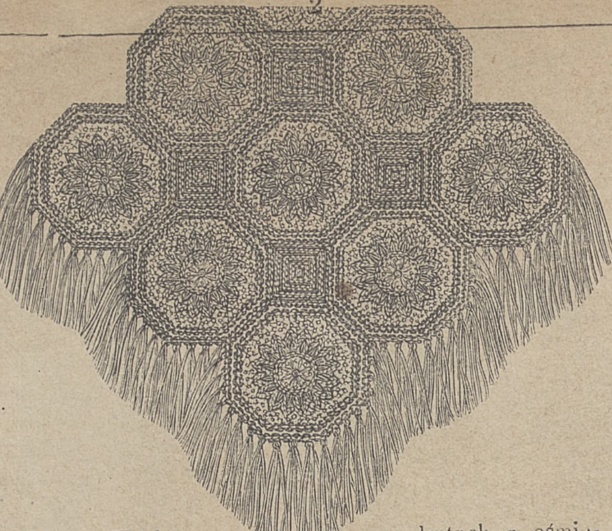
Stanik i tiunika mogą być krajane razem, jak to jest przy zwierzchnich sukniach przyjęte, albo oddzielnie,

czego pod paskiem nie znać. Połączenie dwóch odcieni jednego koloru, używane jest zarówno przy sukniach wełnianych jak i letnich. Wzór jest z perkalu écru, z cieniejszym plisowaniem. U dołu, plisowanie oszyte jest plecionym sutaszem białym, u góry zakończone plisą pikową, któréj próbkę podajemy pod N. 12. Torsada szydełkowa, na plisie naszyta, robi się z bawełny écru. Do sukien wełnianych, na plisie wełnianéj lub jedwabnéj zamiast roboty szydełkowéj, wyszyć można łatwy łaczek. Plisy pikowe szyte wszędzie równéj szerokości. Plisowanie zaś ma przy spódnicy 10 centy. przy tiunice 7—8 a zwężane stopniowo ku górze, ma przy staniku 3—4 c. szerokości. Szmizetka ze stojącym kołnierzem i bufowane rękawki są z muślinu. Kapelusz okrągły słomkowy przybrany wstążką rypsową i kwiatami. Drucik przykryty wązkim z aksamitu objęciem, pozwala nadać rondku wygięcia na rysunku wskazane.

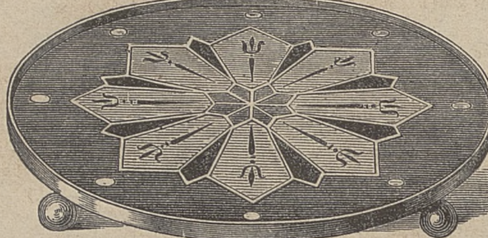


N. 7. Modna chustka do nosa, cyfry złączone ryc. 8 i ryc. 11 w N. 38 T. Mód.

N. 7—8. Chustka do nosa z modnemi znakami. Podajemy czytelniczkom naszym wzory chustek płóciennych, obecnie zarówno przez panów, jak i pań używanych. Z cieniutkiego płótna przykrojona chustka, zdobi się szerokim stębnowanym i w muszki haftowanym obrębem i znaczy pojedynczemi lub złączonemi literami, do których wzór podaliśmy pod N. 11 w N. 38 Tygodn. i pod N. 8 w N. 39 Tyg. Mód. Chustki te być także mogą w kolorze écru, z obrębem ciemniejszym, gładkim lub w muszki na tle białym. Haft znaków odpowiadać powinien kolorom obrębka. Chustki panów zgadzać się powinny z kolorem koszuli. Panie dobierają je odpowiednio do kostiumu.



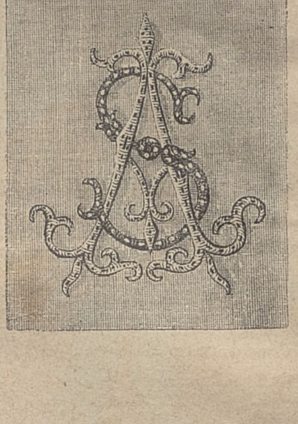
N: 10. Kołdra na drutach z ośmiokątów przezroczystych i kwadratów matowych.



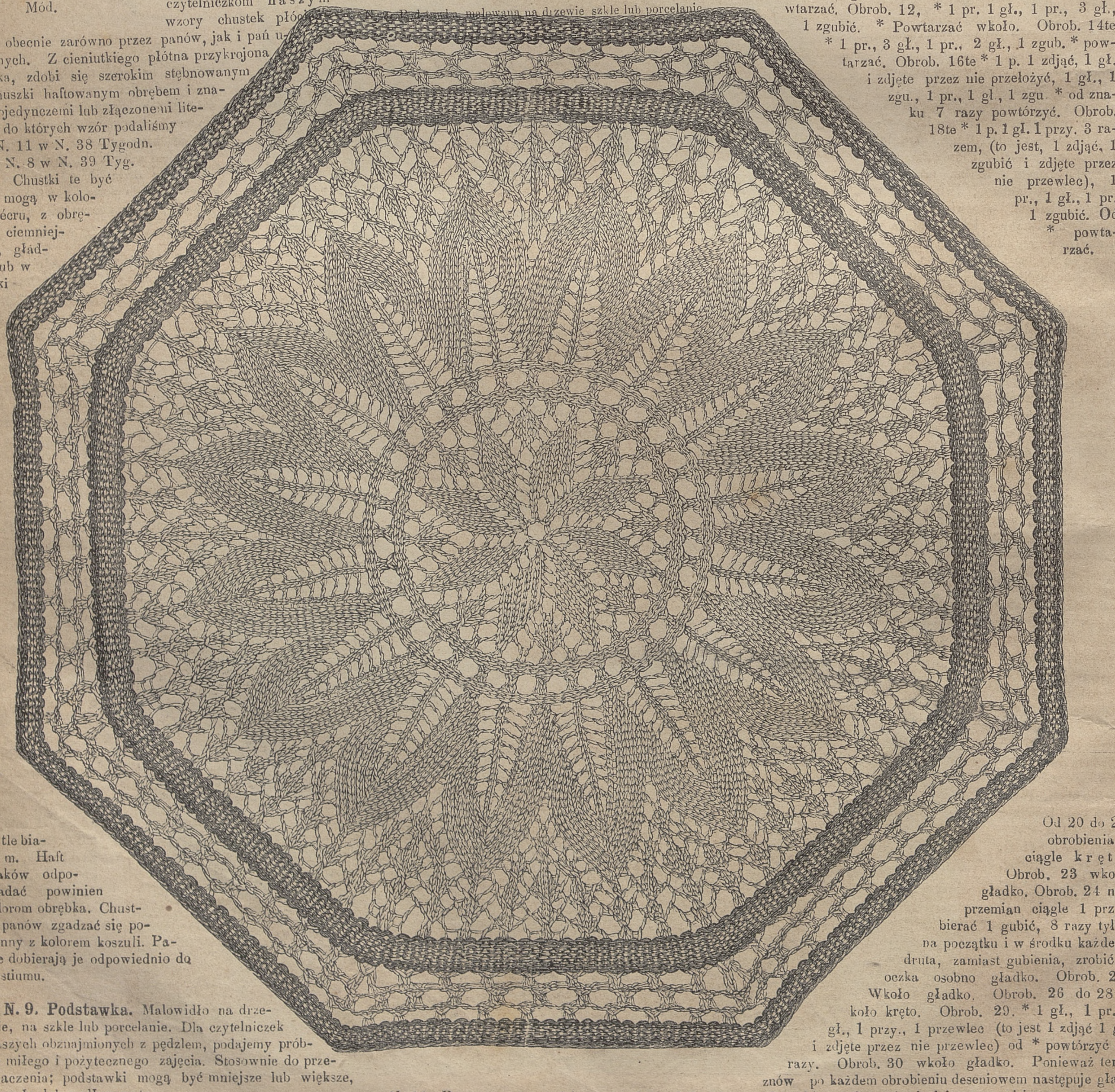
N. 9. Podstawka malowana na drzewie szkle lub porcelanie.

N. 10—11. Kołdra robiona na drutach, z kwadratów matowych i przezroczystych ośmiokątów. Pod N. 11 podajemy wzór naturalnéj wielkości, ośmiokąta ażurowego i dołączamy poniżéj szczegółowy opis roboty. Kwadraty których wielkość odpowiadać powinna bokom ośmiokąta, niepotrzebują opisu, robią się bowiem wkoło, naprzemian gładko i kręto, wygubiając na czterech rogach.

Opis roboty ośmiokątu: Z cienkiéj bawełny, na odpowiednich drutach, zacząć na osiem ocz., pierwszy raz obrobić gładko, podzieliwszy na cztery druty. Drugie obrobienie: * 1 p. (przybrać) 1 gł. * powtórzyć razy 7. Obrobienie 3cie wkoło gładko. Obrob. 4te: * Jedno pr., 2 gł.; * powtórzyć 7 razy. Obrob. 5te wkoło gładko. Ponieważ po każdem obrobieniu deseniowem, następują gładkie, w dalszym opisie podajemy tylko rzędy deseniowe a gładkie opuszczamy. Obrob. 6te * 1 przybrać 3 gł., * powtarzać wkoło. Obrob. 8, * 1 pr. 4 gł. * powtarzać. Obrob. 10te, * 1 pr. 5 gł. * powtarzać. Obrob. 12, * 1 pr. 1 gł., 1 pr., 3 gł., 1 zgubić. * Powtarzać wkoło. Obrob. 14te * 1 pr., 3 gł., 1 pr., 2 gł., 1 zgub. * powtarzać. Obrob. 16te * 1 p. 1 zdjąć, 1 gł. i zdjęte przez nie przełożyć, 1 gł., 1 zgu., 1 pr., 1 gł., 1 zgu. * od znaku 7 razy powtórzyć. Obrob. 18te * 1 p. 1 gł. 1 przy. 3 razem, (to jest, 1 zdjąć, 1 zgubić i zdjęte przez nie przewlec), 1 pr., 1 gł., 1 pr. 1 zgubić. Od * powtarzać.



N. 8. Złączona cyfra do chustki N. 7. Haft w dwóch kolorach.

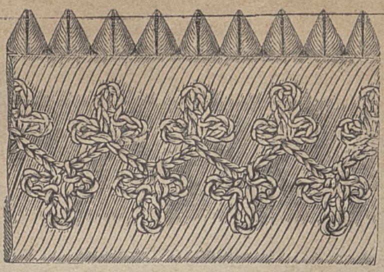


N. 11. Przezroczysty ośmiokąt naturalnéj wielkości, do kołdry rycina 10.

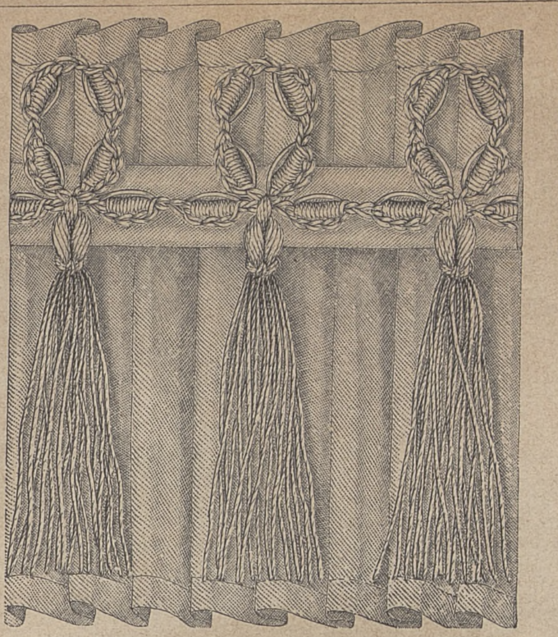
Od 20 do 22 obrobienia ciągle kręto. Obrob. 23 wkoło gładko. Obrob. 24 naprzemian ciągle 1 przybierać 1 gubić, 8 razy tylko na początku i w środku każdego druta, zamiast gubienia, zrobić 2 oczka osobno gładko. Obrob. 25. Wkoło gładko. Obrob. 26 do 28 wkoło kręto. Obrob. 29. * 1 gł., 1 pr. 1 gł., 1 przy., 1 przewlec (to jest 1 zdjąć 1 gł. i zdjęte przez nie przewlec) od * powtórzyć 15 razy. Obrob. 30 wkoło gładko. Ponieważ teraz znów po każdem obrobieniu deseniowem następuje gładkie, takowe więc znów będziemy w opisie opuszczać.

N. 9. Podstawka. Malowidło na drzewie, na szkle lub porcelanie. Dla czytelniczek naszych obznajmionych z pędzlem, podajemy próbkę miłego i pożytecznego zajęcia. Stosownie do przeznaczenia; podstawki mogą być mniejsze lub większe, okrągłe lub podługowate.

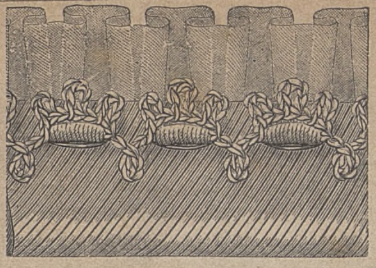
Obrobienie 31. * 2 gł. 1 pr., 1 gł., 1 przewlec. Od * 15cie razy powtórzyć. Obrob. 33 * 3 gł., 1 pr., 1 gł., 1 przybrać 1 przewlec. Od * wciąż powtarzać. Tym sposobem przy dalszych deseniowych obrobieniach powiększa się stopniowo liczbę ocz. gładkich, od których zaczynamy opis, tak że w obrobieniu 43 mamy. * 8 gł., 1 pr., 1 gł., 1 prz., 1 przewleczone * powtarzane w koło. Przy zakończeniu 44 gładkiego obrobienia, przerabia się 4 oczy z następnego druta, to jest 4 pierwsze oczy dopiero co odrobionego rzędu, gładko na drut ostatni. Obrob. 45. 1 przy., 5 gład., 1 pr., 1 gł., 1 przy. 5 gład. Powtarzać w koło. Obr. 47. 1 przy., 1 gł., 1 przy., 5 gł., 3 razem, 5 gładko. Powtarzać. Obr. 49. 1 przy., 3 gł., 1 pr., 4 gł., 3 razem 4 gł. powtarzać w koło. Obr. 51, 1 pr., 1 gł., 1 pr., 3 razem, 1 pr., 1 gł., 1 pr., 3 gł., 3 razem, 3. gł. Obr. 53. 1 pr., 1 gł., 1 zg., 1 pr., 1 gł., 1 przy. 1 przewlec, 1 gł., 1 przy., 2 gł., 3 razem, 2 gładko. Obr. 55. 1 pr., 3 razem, 1 pr., 3 gł., 1 pr., 3 razem 1 gł., 3 razem, 1 gładko. Obr. 57. 1 pr., 2 gł., 1 pr., 1 przewlec, 1 gł., 1 zg., 1 pr., 2 gł. 1 pr 3 razem. Przy zakończeniu 58 gładkiego obrobienia, przerabia się na drut ostatni, jeszcze jedno oko z druta następującego. Obr. 59. 3 gład., 1 pr., 3 razem, 1 pr., 3 gł., 1 pr., 3 razem, 1 pr. Obro. 61, 3 razem, 1 pr., 3 gł., 1 pr., 3 razem, 1 pr., 3 gł., 1 pr., tak ciągle. Obr. 63. 2 gł., 1 pr., 3 razem, 1 pr., 3 gł., 1 pr., 3 razem, 1 pr., 1 gładko. Przy zakończeniu 64 obrobienia, zdejmuje się ostatnie oko na następny drut nieprzerobione, dla ułatwienia następującego rachunku. Obr. 65. 1 pr. 3 razem, 1 pr., 3 gł., 1 pr., 3 razem, 1 pr. 3 gł. Następujący rząd obrobić gładko. Potem przedzielić robotę na osiem drutów równo, wziąść znacznie grubszą bawełnę, i obrobić 6 razy ściśło, kręto, przybierając co drugie obrobienie 1 o. na początku każdego druta, przez co utworzymy ośmiokąt. Potem cienką bawełną obrobić: raz gładko, raz ciągle naprzemian: 2 razy przybierać, to jest, 2 razy nitkę zarzucić na drut, a 3 oczy razem robić. Dalej 1 rząd gład., przyczem z dwóch oczów przybranych pierwsze robić gładko drugie kręto, drugi rząd cały kręto, przybierając ciągle na rogach. Te 3 ostatnie obrobienia powtórzyć jeszcze 2 razy, a na zakończenie, znowu grubszą bawełną obrobić kręto razy 4, nie przepomniawszy przybierania. Teraz zakończyć ośmiokąt gładko.



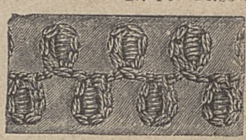
N. 12. Pikowa plisa z ząbkami z płótna i listkami roboty szydełkowéj.



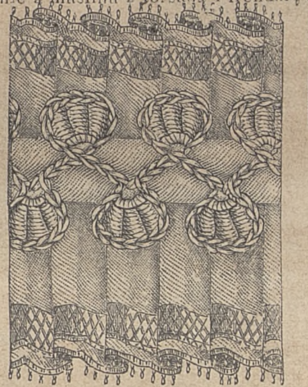
N. 14. Plisowanie z muślinu z torsadą i frendzlą szydełkową.



N. 13. Pikowa plisa z riuszą z muślinu i naszyciem szydełkowym.



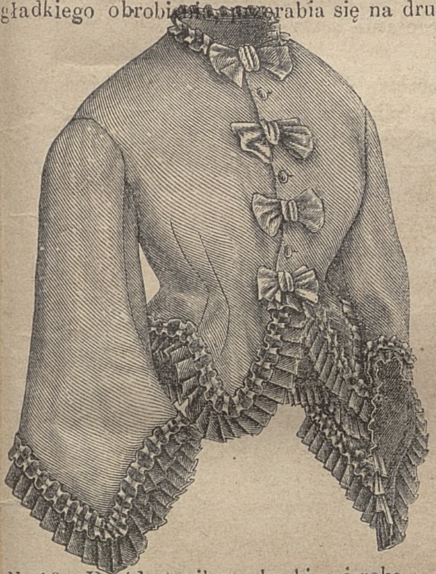
N. 16. Pliska pikowa z torsadą szydełkową.



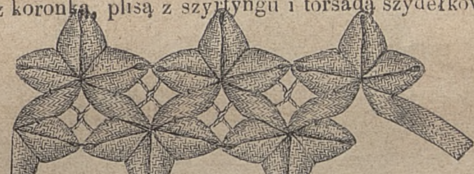
N. 15. Plisowanie muślinowe do garnirowania sukien z koronką, plisą z szyrtyngu i torsadą szydełkową.



N. 17. Pliska pikowa z torsadą szydełkową.



N. 19. Przód stanika z baskiną i rękawami w ząb ściętemi. Garnirunek z plisowania i riuszy.



N. 18. Szlaczek z ząbków i plecionki łączonych ściegiem koronkowym.



N. 20. Plecy stanika z baskiną, szerokiemi rękawami i garnirunkiem z kwadratów.



N. 21. Gałązka z liści. Aplikacja.

N. 12 — 17. Garnirunki przyozdabiane robotą szydełkową z bawełny. Podane wzory różnych garnirunków układanych z muślinu écru, piki, batystu écru i roboty szydełkowéj, nadają się nie tylko do sukien białych lub z kolorowéj piki czy perkalu, ale i do wszelkich sukien letnich w rzucik lub prążki. Szlaczki szydełkowe odrobione z białej bawełny, mogą przy bieliźnie, aplikacją haftu zastąpić.

Z czarnego zaś jedwabiu służyć mogą jako pasmanterja.

N. 12. Pikowa pliska z ząbkami z płótna i listkami szydełkowemi. Pliska ta przeznaczona jest na nagłówek garnirunku podanego przy sukni N. 6. Ząbki płócienne dane być mogą u dołu i u góry. Robotę szydełkową stanowią zwyczajne pikoty z 5 l. o. połączone o. śc., 3 takie pikoty oczkiem luźnem połączone stanowią listek, który 3 o. łań. łączą z następującym.

N. 13. Plisa pikowa z riuszką z muślinu i szydełkowem naszyciem. Na riuszę muślin składa się we dwoje i układa w równe kontrafałdy. Robota szydełkowa składa się z 3 zwykłych pikotów ułożonych jeden przy drugim i jednego p. nawijanego 18 razy koło szydełka okręconego i odrazu długą pentelką przerobionego; 7 o. łań. układa się w węzeł łączący pikoty z sobą.

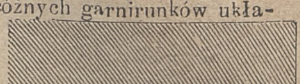
N. 14. Plisowanie z muślinu z torsadą i frendzlą szydełkową. Na plisowaniu naszyta frendzla wiązana z szydełkową torsadą, robi się sposobem następującym: *4 o. l. potem nawinąć nitkę 12 razy około szydełka, zaczepić w pierwsze z czterech o. l. przeciągnąć przez 12 owinięć i przerobić 1 o. l. * cztery takie pikoty złączyć w koło, dwa zostawić wzdłuż równolegle i znów 4 w koło złączyć. Na kwasty potrzeba nawijać odpowiednią ilość bawełny na deseczkę lub kartę, przewiązać w górze, przeciąć u dołu i szydełkiem przyrobić albo igłą przyszyć do torsady.

N. 15. Plisowanie mnślinowe oszyte koroneczką, przedzielone pliską z szyrtyngu, z naszyciem szydełkowéj torsady. Plisowanie to, które albo samo może stanowić garnirunek, albo być dodane jako nagłówek nad wolantem, jest z muślinu ciętego prosto, pliska zaś z szyrtyngu jest skośna. Na torsadę robi się: * 4 l. o., 3 dziewięć razy nawijane pikoty w pierwsze z nich, znów 3 l. o. i jedno ścisłe zamykające listek, 3 o. l., * co powtarzać ciągle.

N. 16. Pliska pikowa z torsadą szydełkową. Robota szydełkowa prawie taka sama jak w N. 15, tylko zamiast 3, jeden pikot nawijany.

N. 17. Pliska pikowa z listkami szydełkowemi. Na te listki robi się 9 o. l. w ktore przerabia się 9 oczek sposobem tunetańskim, które następnie przewłóczy się jedną pentelką i zrabia oczkiem śc. potem daje się 1 o. l. i odrabia drugi taki sam listek, odwrócony w przeciwną stronę.

N. 18. Szlaczek z plecionki i kratki koronkowéj. Sposób składania i łączenia plecionki, widoczny jest na wzorze, kratki odrabiają się jednocześnie przy spajaniu. Poleca-



N. 23. Garnirunek z listewek stębnowanych i ząbków.



N. 22. Haft na flanelce, na szlak do spódnic, płaszczyków dla dzieci itp.



N. 24. Plisa z perkalu kolorowego i podłużnych ząbków z plecionki.

my tylko dobór najlepszych i mocnych nici.

N. 19 i 20. Stanik z karoczkiem z odmiennemi rękawami. N. 19 przedstawia przód stanika z baskiną, z materji écru, garnirowany takimże plisowaniem 4 c. i riuszą 3 c. szeroką, obrębianemi w maszynie. Stanik zapinany jest na guziki, pomiędzy któremi w równych naprzemian odstępach, dane kokardy z tego co stanik



N. 26. Uczesanie głowy z warkoczami. Przód.

materjału. N. 20 podaje rysunek pleców, z baskiną przedłużoną i w dwie klapki przeciętą. Tu rękawy są zwykłe szeroko puszczone, gdy N. 19 przedstawia w ząb podcięte. Garnirunek i materjał stanika są z białego perkalu z kwadratami z kratek fabrycznie odrobionych, przymocowanemi wązką stębnowaną listewką. U dołu



N. 29. Kapelusz okrągły z koronką i woalikiem. Kołnierzyk w Tyg. N. 38 ryc. 6.

pod kwadratami dana falbana z perkalu; u góry wązki dziergany szlaczek.

N. 21. Gałązka liści. Aplikacja itd. Powyższy wzór służyć może do najrozmaitszych celów, już to jako medaljon do pudełek, koszyczków lub też jako rzut na firanki, lambrekiny itd. Stosownie do przeznaczenia zmieniać się będzie materjał i robota. Można np. używać na liście jednego, albo kilku kolorów sukna, aksamitu, rypsu lub atłasu. Można wziąść jeden lub kilka cieni kordonków, a nawet mięszać nitkę złotą. Na przedmiotach bielizny z szyrtyngu lub muślinu, daje się aplikacją z piki białéj lub płótna écru, odziergując bawełną pąsową, niewarową, lub jedwabiem czarnym.

N. 22. Deseń na szlak do spódniczek flanelowych do płaszczyków dla dzieci itp.

W gęsto odzierganych zębach, odrabia się muszki



N. 25. Czepeczek bez denka z końcami spiętemi. Zobaczyć takiż czepeczek z denkiem N. 3.



N. 28. Kapturek szalikowy. Robota na drutach.



N. 31. Stanik z materjału w paski z falbankami skośnemi.

atłaskiem, gałązki zaś pojedynczemi ściegami łańcuszka i sznureczkiem, jednym albo kilku stosownie dobranemi kolorami jedwabiu.

N. 23 — 24. Dwa rodzaje plisek zakończonych ząbkami z tasiemeczki, do sukien lub spódnic pikowych albo perkalowych. Obiedwie próbki przedstawiają tak dziś używane pliski z deseniowego perkalu oszyte ząb-



N. 27. Uczesanie z warkoczami podane z tyłu.

kami z plecioneczki. Na rycinie 23 gęste drobne ząbki są przymocowane pliską czarnem jedwabiem stębnowaną środkiem supełkami wyszytą. N. 24 przedstawia jedną szerszą plisę z perkalu w rzucik, na wierzchu z brzegów naszytą podłużnemi ząbkami.



N. 30. Kapelusz okrągły, ubrany wstążką i kwiatami. Kołnierzyk w Tyg. N. 38 ryc. 3.

N. 25 i 3. Dwa czepeczki. Podstawą czepeczka do którego można dodać lub nie dawać denka, jest czółko z tiulu sztywnego, drucikiem objęte i wstążeczką oszyte. Dwa łokcie wstążki 3 c. szerokiéj oszywa się z zewnętrznego brzegu nadmarszczoną koronką, 3 i pół c. szeroką i stojąco przyczepia do czółka. Takaż koronka daje się koło twarzy, sposobem na rysunku wskazanym i przypina na środku kokardę ozdobioną haftowanym liściem. Pięć takichże liści naszywa się na barbce złączonéj u dołu, węzłem z koronki w wachlarz ułożonéj. Przyczepiony z tyłu kawałek elastyki, dogodnie przytrzymuje czepeczek. Tenże sam czepeczek pod N. 3 ma dodane okrągłe denko i wstążkę nieco szerszą, w końcach nie złączoną i nieoszytą koronką.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 40 T. Mód.